

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

wychodzi co tydzień

w objętości jednego tomu.

W
r. IV
Rocznie.
Półrocznie
Kwartalnie
Za odnoże

W skł
nępujący

1. Ar
2. Dz

3. Dz

4. Dz. —————
stkich dziedzin wiedzy współczesnej.

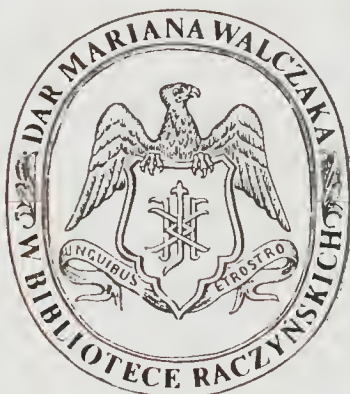
torq
rs. 12
u) „ 6
u) „ 8

ziela na-

nej,
oezye,
ow na-

niętniki
szłości.

wszy-



WYDĄWCA
Saturnin Sikorski.

ZA REDAKTORA
Klemens Szaniawski.

Druk. Artyst Saturnina Sikorskiego, Nowy-Swiat 47

Доводжено Цензурою Варшава. 22 Декабря 1897 г.

BIB.

CH

W

W

Rocznie . (52 tomy) rs. 10
 Półrocznie (26 tomów) „ 5
 Kwartalnie (13 tomów) „ 2 kop. 50
 Za odnośzenie do domu 15 kop. kwart

Rocznie . (52 tomy) rs. 12
 Półrocznie (26 tomów) „ 6
 Kwartalnie (13 tomów) „ 3

Cena każdego tomu 25 kop.

W skład „Biblioteki dzieł wyborowych“ wchodzi dzieła następujących kategorii:

1. **Arcydzieła literatury powszechnej.**
2. **Dzieła beletrystyczne** (powieści, poezye, podróże, najbardziej cenionych autorów naszych i zagranicznych),
3. **Dzieła historyczne.** szczególnie pamiętniki i opowiadania, dotyczące naszej przeszłości.
4. **Dzieła popularno-naukowe** ze wszystkich dziedzin wiedzy współczesnej.

WYDAWCA

Saturnin Sikorski.

ZA REDAKTORA

Klemens Szaniawski.

Druk. Artyst Saturnina Sikorskiego, Nowy-Swiat 47

Дозволено Цензурою Варшава, 21 декабря 1897 г.

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH.

№ 14.

Czarna Peretka

(POWIEŚĆ)

B. Bolesławity

z przedmową

Teodora Jeske-Choińskiego.



J. Krasiński

TOM I.

Cena 40 kop

W prenumeracie 30 1/2 k

WARSZAWA.

Redakcja i Administracja:

43. Nowy-Świat 43.

GZARNA PERŁKA.



B. Bolesławita.

CZARNA PEREŁKA

POWIEŚĆ

Z PRZEDMOWĄ

Teodora Jeske Choińskiego.

TOM I.

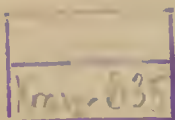


WARSZAWA.

Drukarnia Artystyczna

Saturnina Sikorskiego.

47. Nowy-Świat, 47.



Дозволено Цензурою.
Варшава, 16 Декабря 1897 года



Czarna Perelka.

Czarną Perelką jest młoda, niepospolitej urody cyganka, wzięta na wychowanie przez wielką panią.

Między wojewodziną Bolesławitą a „Dobrą panią“ Orzeszkowej niema żadnego podobieństwa. Nie trudni się ona filantropią z nudów, w braku innych zajęć i wrażeń nie rzuca psa dla papugi, papugi dla sieroty, sieroty dla romansu. Kocha swoją wychowanicę szczerze i pamięta o niej nawet w chwili śmierci.

Życie dzicci, przeniesionych nagle, bez przygotowania, z jednej sfery do drugiej, wyrwanych bez właściwego powodu z ich środowiska, układa się

rzadko prawidłowo, równo, na losy bowiem człowieka wpływa mnóstwo warunków, z których znaczna część nie zależy od niego.

Pochodzenie np. takie lub inne nie powinno odgrywać w biografii istoty, „stworzonej na obraz i podobieństwo Boże,” żadnej roli. Sprzeciwiają się temu zasady chrześcijańskie, rozum filozofii i sprawiedliwość dobrego serca. A jednak idzie pochodzenie za człowiekiem przez całe życie, jak cień natrętny, bo narzuca mu rodzinę bliższą i dalszą, nieraz wcale nie zabawną, środowisko społeczne, i odziedziczone po szeregu przodków instynkty, upodobania, pragnienia i porywy, których nawet silna wola nie zawsze zdola okiełznać.

Lenora Zara, „Czarna Perelka“ Bolesławity, przechodzi z brudnej, niechlujnej szatry cygańskiej do pałacu, z błota ulicy pod dach wykwiniony. W obozie swoich współziomków widziała kradzież, zabójstwo, kłamstwo włóczęgostwo, i wszelaki występki; w domu wojewodziny słyszy tylko miękkie, przyciszone słowo pieszczoty i nauki szlachetne.

Dzikię cyganiątko przystosowywa się z czasem do otoczenia cywilizowanego i wytwornego, proces ten jednak nie mógł się odbyć bez oporu, bez prze-

szkód. Polna różyczka nie zmienia się odrazu w kwiat ciepłarniany.

Tego procesu psychologicznego nie odtworzył Bolesławita, zstępujący rzadko do głębin duszy ludzkiej. Zwyczajem swoim pominął on zupełnie przyczyny, zająwszy się głównie skutkami.

Niepospolicie płodny, pracownik gorączkowy, przenoszący się chętnie i łatwo z przedmiotu na przedmiot, nie był Bolesławita starannym psychologiem w rozumieniu dzisiejszem. Rozwijając się więcej wszerek niż wgłąb, co było właściwością jego talentu, nie uzasadniał dostatecznie czynów i wypadków.

Zaraz w założeniu powieści występuje „Czarna Perelka” jako kobieta nie tylko cywilizowana, lecz ośniewająca nawet przymiotami najlepszego towarzystwa. Piękna, wykształcona, muzykalna, wykwinnie wychowana, należy ona do rodzaju t. zw. świętnych panien. Nic nie zdradza w niej pochodzenia cygańskiego, ani ruchy, ani zachowanie się, ani instynkty. Córką złodziei i zbójów zdumiewa szlachetnością poglądów, czynów i ową cierpiącą bez skargi dumą, która bywa tylko udziałem natur bardzo szlachetnych.

W ten sposób nie maluje już dziś nikt charakterów. Najpodrzedniejszy belletrysta z młodszego pokolenia stara się twory swojej wyobraźni psychologicznie wytłumaczyć.

I nie z naturalnych skutków nienaturalnego położenia „Czarnej Perlki“ wysnuwa Bolesławita swoją powieść, lecz z wypadków zewnętrznych.

Wojewodzina umiera — wychowanica jej widzi się nagle osamotnioną, obcą w domu, który przywykła uważać za swój — krewni spadkobiercy nieboszczki wypędzają przybłędę z palacu, co było do przewidzenia, bo któż chciałby się zrzec dużej fortuny dla dziecka cygańskiego, przygarniętego z litości?

Z tej katastrofy wypływa długi szereg następstw, z których Bolesławita splótł powieść zajmującą.

Bo nie dość głęboki psycholog był, jak wiadomo, znakomitym naratorem. Z pod jego dziwnie płodnego pióra płynęło słowo potoczyste, barwne, zaciągające. Postacie, chociaż nie motywowane starannie, nie wycieniowane, rysowane raczej szkicowo, szerokimi konturami, występowały plastycznie, wyraźne i żywe. Węzeł powieści, zawsze w ekspozycji doskonale zadziegnięty, rozmotowywał się wprawdzie zwykle w dalszym ciągu, mimo to jednak łą-

czyły się ostatecznie luźne części rozbitej akcji w całość zaokrągloną.

Tym swoim zaletom wybornego opowiadacza zawdzięcza Bolesławita, że jego powieści czytają się jeszcze dziś, kiedy się technika artystyczna zmieniła, z większem zajęciem, niż niejedno z dzieł czasów najnowszych.

I „Czarna Perelka“ nie znudzi nikogo. Kto szuka w utworze beletrysty bogatej bajki, dobrze postawionych charakterów i uczciwej tendencji, ten nie odłoży książki przed kartką ostatnią.

Teodor Jeske-Choiński.



Tej serdecznej Warszawie, jaką ona jeszcze przed ostatnimi była wypadkami, a nawet jaką jest dzisiaj, choć jej oblicze smutnie się teraz zmieniło, wśród świetnego i widocznego życia, ileż to się odgrywało dramatów na strychu i tragedyj po poddaszach, których żadne nie oglądało oko, chyba potrosze odgadł je wzrok milczącego stróża, a wyczytał trumniarz, co lichą dźwignął po schodach zbitą z tarciczek trumienkę. Niekiedy ciekawsze oko mogło podpatrzeć tam życie i domyśleć się gry jego, tak zmiennej, tak różnej jak barwy opalu, w których się słońce, przeglądając, mieni.

Życie ludzkie... tak jednakowem wydaje się zdała, a tak dziwnie i nieskończenie jest rozmaitem, gdy się na nie patrzy serca i duszy mikroskopem. Naówczas ta czarna i różowa plamka rozkłada się w cały świat kształtów, światel i cieni.

Z tych wzorów nieśmiertelnych życia tworzy

fantazyja obrazy, ale bezsilna jest jak dziecko, które z malowanej karty figurki wystrzyga... nowego nie potrafi urodzić, ledwie ze szczątków coś klei.

Dobrze jeszcze, kto posłuszny prawom niezłomnym, nie sili się daremnie na to, co niemożliwe, i odwzorowywa naturę, podziwiając jej cuda niewyczerpane... Te tylko obrazy życie przypomnieć mogą, które są z rzeczywistości czerpane. Można je bluszczem umaić, ukwiecić, oświetlić... ubarwić — ale cóż stworzyć potrafi człowiek, ograniczony żelaznemi ścianami swojego organizmu cielesnego i duchowego!

Mówmy więc o tem, na co oczy patrzyły, i co, przeżywszy rzeczywistość, ma prawo odrodzić się jeśli nie w pieśni, to w opowiadaniu zimowego wieczoru.

Jeden z dwóch pałaców rodziny Zamoyskich na Krakowskiem - Przedmieściu był przed rokiem 1861 podzielony na mnóstwo drobnych mieszkań, które dosyć tanio różnym osobom wynajmowano. Mieściło się tam i młodzieży wiele, i mniejszych a niezamożnych rodzin urzędników, i wszelkiego powołania ludzi, szukających bezpieczeństwa i schludności przy umiarkowanej cenie.

Na drugiem piętrze jeden z pokoików szczupłych, z malutką sionką tylko, zajmowała od niejakiego czasu osoba... która ludność pałacu, złożoną w większej części z młodzieży, mocno zaintrygowała. Jak się ona tu potrafiła dostać, gdzie kobiet samotnie

mieszkających nie przyjmowano, kto jej to mieszkanie wyszukał i najał, nie wiadano. Nie postrzeżono nawet zrazu, kiedy się wniosła, a tak wychylała się mało za próg swego pokoiku i tak ostrożnie snąć, aby wejrzeń nie ściągnąć, iż nierychło jakoś oko ciekawego młodzika wyszpiegować ją potrafiło.

Było to późną jesienią; pan Zygmunt Haraburda, rusin, uczeń malarza Simmlera (który prawie nie przyjmował uczniów i uczynił tylko dla niego wyjątek), wracając ku wieczorowi na trzecie piętro, gdzie się mieścił, spotkał na schodach niespodziane zjawisko...

Nie mógł dostrzedz dobrze rysów twarzy, ale jako artysta, w półmroku ciemno zarysowującą mu się postać niezmiernego wdzięku, proporcji i gracyi klasycznej, niby ożywiony posąg starożytny z dzbankiem w ręku, posuwający się ku górze ujrzał i stanął zachwycony. Szła nieznajoma owa lokatorka tak żywo, jak tylko mogła, jakby się szelestu kroków przelekła. Zygmunt pospieszył, aby ją lepiej zobaczyć, ale nim dobiegł, pięknych kształtów dziewczę gdzieś mu jakby cudownym sposobem znikło...

Zygmunt, który oczyma się uczył świata i pa-trzył na wszystko z podwójną ciekawością młodzieńca i malarza, znał wszystkich mieszkańców tego domu. Każdego z nich nieco w karykaturze miał w swoim albumie, a dotąd tej prześlicznej karyatydy greckiej, a raczej kanefory nie widział.

Dotknęło to jego miłość własną. A że do pro-

jektowanego szkicu Racheli u studni potrzebował niewieściego wzoru, który mu mignął, tak drażniąc się kryjąc, nie mógł sobie darować, że szedł powoli i chwilę na widok linii tej postaci usłupiał.

Postanowił więc sobie dotrzeć koniecznie i wysledzić, która z dziewcząt noszących dzbanki ma taką kibić zachwycającą i taki wdzięk ruchów...

Niestety, ani nazajutrz, ani w ciągu tygodnia nie potrafił wysledzić znikłego zjawiska... Dziewczęta, wychodzące po wodę z domu, były przeróżnaitego wzrostu i postaci, ale żadna z nich w najmniejszej rzeczy nie była podobną do tego snu wieczornego. Na ostattek Zygmunt powiedział sobie, iż mu się przywidziało... że sam stworzył, a raczej przypadek te linie greckie wśród polskich prozaicznych schodów wiodących na drugie piętro.

Na tem się skończyło, gdy jednego ranka schodząc nieco później (był to dzień niedzielny), zobaczył przed sobą idącą tę samą kibić klasyczną, tę samą marzoną kaneforę... Tym razem wszakże nie niosła ona nic, prócz książki do nabożeństwa w ręku, a ubrana była acz skromnie, ale tak wytwornie, iż dzbanek w jej dłoni wydawał się anomalią. Pan Zygmunt potrafił ją wyminąć i zajrzeć jej w oczy, albo raczej zobaczyć twarz, wzroku nań bowiem nie podniosła. Stał zdumiony we wrotach, aby ją jeszcze oglądać przechodzącą, i przekonał się, że ona nie mogła nieść dzbanka.

W tej nieznaney panience było coś tak oryginalnego, dumnego, pańskiego i dzikiego razem, tak skromnie i majestatycznie przeszła koło niego, iż malarz sobie powiedział: nie, to nie ona! Ale, też sama czy inna, piękna dziewczica tak niepodobną była do ogółu twarzy niewieścich, oglądanych codziennie, iż Zygmunt westchnął, że jej odmalować nie potrafi.

Typ fizyognomii był wschodni może, a jednak nie hebrajski — różny od niego, dzikszys jakiś i energiczniejszy. Na tamtym tysiącletnia wypiętnowała się niewola, tu coś nieokiełzanego i tchnącego swobodą pustyni i lasów. Płeć miała smagłą, ciemną, ogorzałą niemal, oczy czarne, smutne i groźne, włos kruczys... a kształty kibici były uroczej budowy. Niegodziwe suknie nie potrafiły zeszpecić i zakryć tego chodzącego posagu Junony azyatyckiej.

Ubiór jej był taką zagadką, jak ona. Składał się z kosztownych materyałów, widocznie poprzerabianych i zastosowanych na nowo do wymagań mody, bardzo zręcznie, a jednak niepospolicie. Nie ubrała jej lada modniarka, i strój nie był chwycony w pierwszym lepszym magazyniku. Niosła go na sobie z godnością, ze smakiem, możnaby rzec, z uczuciem wrodzonym, pełnem nieopisanego wdzięku. Chód jej nawet był inny jakiś, nie miejski... Dotykała ledwie stopą bruku, sunęła się po nim, ale czuć było siłę w tym pochodzie pewnym siebie i śmiałym. Gdy malarz spojrział na nią, na twarzy bronzowej, podobnej

do indyjskiego bóstwa, nie było wyrazu innego, oprócz głębokiego zamyślenia i smutku. Smutek ten nie skarżący się, jakby mimowolnie przeciskał się przez zmartwiałe rysy, nawykłe do poważnego spokoju.

Szła widocznie do kościoła i znikła mu z oczów.

Nie byłby artystą i dwudziestoletnim młodzieńcem pan Zygmunt, gdyby na widzeniu tem poprzestał... poszedł na zwiady... O nazwiska lokatorów dowiadując się pilnie, doszedł, że na drugim piętrze stała panna Leonora Zara, tak mu ją nazwano — samiućka jedna. Stróż, nieco wtajemniczony w byt i położenie lokatorki, poczęstowany papierosem, dodał, iż cały dzień siedzi zwykle zamknięta w swoim pokoju, że była ponoś jakaś trudność z umieszczeniem jej w pałacu, ale ta jakimś tajemniczym, wszechmogącym wpływem usuniętą została... i że dalipan, więcej nic o niej nie wie... Nazwisko brzmiało jakoś cudzoziemsko; Zygmunt spytał stróża, czy mówi po polsku, a ten ruszył ramionami i zapewnił, że kilka jedynych słów, jakie z jej ust do jego ucha spłynęły, doskonałą były polszczyzną powiedziane. Na tem się skończyło i więcej już dowiedzieć się nie było podobna.

Nie ma podobno kraju, gdzieby piękna kobieta większą cześć odbierała i obudzała zajęcie gorętsze jak w Polsce. Często uwielbienie to bywa nawet niegrzeczne i natrętne, można je tylko dla pobudek wytłumaczyć, jest to zdegenerowana cześć piękna wogóle.

Wkrótce też cały pałac wiedział o tej nieznajomej; badał ją i zajmował się odgadnięciem problemu: kto ona być mogła. Postać zapowiadała coś z wyższego świata, ubóstwo temu przeczyło; okrywanie się tajemnicą i życie zamknięte było niezrozumiałem.

Nigdy nie przemówiła do nikogo, nie obejrzała się, nie postarała o te sąsiedzkie, prawie nieuniknione stosunki, które się same zawiązują. Obok mieszkał biuralista z żoną, córeczką i służącą, graniczyli z sobą przez ścianę, a pan Melchior i pani Melchiorowa zaręczali, że u tej panny przez cały dzień ledwie jakie szelest albo westchnienie słyszeli. Nikt a nikt nigdy u niej nie bywał. Kaśka, niezmiernie ciekawa służąca tych państwa, stawiała na czatach, widywała ją przynoszącą sobie wodę do dnia, wychodzącą czasem wśród niego z wyraźnem staraniem, aby się z nikim nie spotkać, niekiedy wymykającą się ze dzbankiem wieczorem, zresztą... drzwi były na klucz zamknięte i cisza głęboka. Kaśka spostrzegła i to, że panienka chodziła w jedwabiach, że miała piękny szal, kilka chustek kosztownych i zawsze świeże rękawiczki.

— Co toto jest? — mówił pan Melchior, zażywając tabakę, systematycznie nogę prawą zakładając na lewą i lewą na prawą, aby nie drętwiały — to jest egip. . . enigma. W atlasach z dzbankiem po wodę? Oczywiście jakaś historia... jakiś dramat, który się wytrawia pocichu...

— Ale co ma być! — niecierpliwie przerywała sama jejmość, nie lubiąca poezji i niewieścich zagadkowych egzystencyj — co ma być! Zaraz ichmość robicie heroiny z lada wyszarzanego kawalka atlasu.

— A jak Boga kocham — zawołala z drugiego pokoju, głowę wystawiając, Kaśka z poufalością starej slugi — że ma takie szale i chustki... i suknie jak-by jaka pani.

— A sama wodę nosi! — dodała, ruszając ramionami, pani Melchiorowa — to mi się podoba. Dajcież już temu pokój!

I nietylko pan Zygmunt, państwo Melchiorowstwo, Kaśka, ale cały pałac niesłychanie był zajęty ową panną, której nazwisko nic nie mówiło... a osoba tyle dawała do myślenia...

Zwykle w takich razach, gdy się ludzie śledzić uprą, coś naostatek odkopią, prawdę czy fałsz, i tem się zaspokoją, tu niepodobna było nic się dowiedzieć.

Z geograficznego położenia i natury swych zatrudnień Kaśka była jeszcze może najlepiej uposażoną do podsłuchania i podpatrzenia czegokolwiek; jako narzędzie, miała niewieścią, słynną, po matce Ewie odziedziczoną ciekawość. Ale wszystko to nie pomogło. Próbowala parę razy nastreczyć się do małych posług, odebrała grzeczne podziękowanie tylko i nic więcej. Ale że była w dodatku bardzo poczciwą dziewczyną, której serce na niedolę bilo, bo jej wiele w życiu przebyła — nie zraziła się odmową i z duszy

pragnęła w czemś być użyteczną tej panience, której położenie litość w niej obudzało.

— Co tam ja — mówiła w kuchni — że ja ciężko pracuję, a na palca zawinięcie zarobić nie mogę... no to co? dyć to już było tak i z rodzicielami, ta i ze mną, bo na tośmy się rodzili z przeznaczenia Bożego; ale ta... czarna... chodziła ona zawsze po wodę do studni? Przypadło na nią nieszczęście — ta to cierpieć musi stokrotnie, bo nie nawykła... Nieraz się patrzę, jak niesie tę wodę, albo coś z miasta — ona, to prawda, że pięknie nieść umie, człekby tak nie potrafił — ale co? czuć i widać, że jej to ciężar straszny, a oczy spuszcza ze wstydu... Ale dumna jejmościanka... ani piśnie. Kilka razym ją zaczepiła, ino główkę obróci, spojrzy temi oczyma kieby węglami, a głos jak muzyka... jakby śpiewał... ino taki smutny, że się płakać chce.

Wzdychała Kaśka, że jej pomódz nie mogła, że się wkraść nie potrafiła... a nie straciła ochoty do swych psychologicznych studyów nad nieznaną.

Pan Zygmunt, porwany wirem artystycznego żywota, zaniedbać je musiał, a państwo Melchiorowstwo radzi byli, że mieli spokojną sąsiadkę.

W tych czasach, jakoś o św. Michale, wniósł się na pierwsze piętro kawaler wielkich nadziei, pan Roman Junosza Zarybski, młody dziedzic znacznej fortuny, którego rodzice wyprawili do Warszawy dla swobodnego ukończenia wychowania. Pretekstem by-

ły lekcye muzyki, gdyż był muzykalny, lekcye akwarelli u Kostrzewskiego, gdyż nieco malował, i prywatne różne studia, których wybór jemu samemu był zostawiony.

Roman pochodził ze szlacheckiej wprawdzie rodziny, ale niedostatniej dawniej, a dopiero w ostatnich czasach, gdy fortuny jak grzyby rosnać się nauczyły, nagle zbogaconej. U nas rodzina, przychodząca do majątku, za pierwszy sobie zaraz poczytuje obowiązek zupełnem przejściem na łono społeczności arystokratycznej, europejskiej, zerwać z przeszłością i wkupić się do większego świata. Nie przychodzi to bez ciar, ale czegoż się nie uczyni, aby zająć stanowisko przyzwoite! Skutkiem starań rodzicielskich o przyjęcie do bractwa było, iż syn już najzupełniej do niego się wcielił.

Romanek, nie tylko że wyglądał arystokratycznie, nie tylko że mówił lepiej po francusku niż po polsku, że przywiązywał do prozapii i genealogii niesłychaną wagę i stworzył sobie wywód od dwunastu wojewodów, że był jak najgorętszym katolikiem nie z serca, ale dla tonu i z obowiązków stanu, chociaż młody, poślubił jeszcze konserwatywne przekonania i wstręt do rewolucyi, agitacyi, czerwoności, z którym lubił się popisywać wszędzie. Był ze wszech miar młodzieńcem wzorowym, uczęszczał do najlepszych towarzystw i tylko do domów znanych z rodu i usposobień pokojowych, ulicą się brzydził, a bez

rękawiczek nikt go nigdy nie widział i bez nieposzlakowanego cylindra. Powierzchności Pan Bóg mu nie dał wdzięcznej, był chudy, długi (nie wysoki, bo to inaczej wygląda), posępny, z nosem trąbiastym, włosy nosił gładko, a mimo młodości, arcy był poważny i — że studyował genealogię domów polskich, przeto inne lekkie literackie produkcje wcale dlań nie miały wartości. Znano go jako pełnego nadziei poczynającego archeologa, zaprzatnionego historią guzików herbowych... Znakomite do niej zebrał był materiały.

Roman wyglądał nieco donkiszotycznie, trochę śmiesznie, ale nadzwyczaj przyzwoicie. Gdy kogoś zechce kompromitować, czyni to czasem w sposób tak nieznośnie drapieżny, żeby go można posądzić o chęć drwienia z ludzi. Roman stanął w pałacu Zamoyskich dlatego, iż mu się to zdawało przyzwoitszem niż gdzieindziej, a licho nadało, że na trzeciem piętrze znalazł tu Haraburdę, dalekiego krewnego, bez któregoby się był wyśmienicie obszedł. Drugiego dnia dopytała się doń ciotka, która była zapomnianą przez rodzinę, a niestety! — razem z mężem zajmowała się sprzedażą mąki i krup!

Choć nie dał tego poznać po sobie pan Roman, ciężko go te dwa spotkania zgryzły i przybiły. A od Haraburdy się uwolnić i drzwi mu zamknąć nie było sposobu, ciotki się wyrzec zdawało niepodobieństwem.

Na dobitek nieszczęścia, Roman miał kompleksy

nader romansową, jak się o nim wyrażał kuzynek, i choć się z tem tail nieco, jednym z celów przybycia do Warszawy było... zawiązanie jakichś stosunków cichych, któreby kawalerski żywot urozmaicić i zazielenić mogły.

Tradycye tego świata, do którego należeć pragnął, wcale się temu nie sprzeciwiały, wiedział tylko, iż należy zachować *decorum*. Wkrótce po zajęciu lokalu na pierwszym piętrze i umeblowaniu go tak, aby mógł choćby właściciela pałacu przyjmować, jednego dnia, schodząc ze schodów, Roman pracował nad prawidłowem włożeniem rękawiczek dziewiczej świeżości. Mozolił się nad niemi, gdyż łapę miał wcale nie pańską, a chciał, by uchodziła za kształtną i małą. Już był wcisnął palców czworo i pozostawał mu piąty gruby i niezgrabny klocek do wświdrowania, gdy... stanął i osłupiał... rękawiczka pękła... usta się rozwarły... i ogromne — ach! wyrwało się z nich.

Schodami szła od dołu żywo, pewnie nie spodziewając się spotkania, owa nieznajoma Lenora... dźwigając spore pudełko... Roman ujrzał ją — i po wstępnem: ach! — zawolał:

— Pani tu! Mlle Lenora ici?

Panna podniosła czarne oczy bez podziwu i przestachu, popatrzyła jakby jej sobie trudno było przypomnieć tego dobrego znajomego i, lekko pozdrowiwszy go głową, nie odpowiadając nawet, poszła dalej.

Za Romanem szedł natrętny kuzynek Haraburda.

— A no! — rzekł — przecież się historii tej chodzącej zagadki dowiemy. Pozywam pana Romana, aby powiedział, co o niej wie.

— Co ona tu robi? — spytał żywc Roman.

— Ale ja ciebie się o to pytam! Mieszka na drugim piętrze, wodę sobie sama nosi, cały dzień siedzi zamknięta. Któż to jest?

— Ja nie wiem, kto to jest — rzekł Roman — to tylko wiem, że w domu starej wojewodziny (jednej z ostatnich wojewodzin 1831 r.) widywałem ją na stopie dziecięcia domu, panią niemal samowładną, gdyż wojewodzina nieco była zdziecinniała. Wiem, że ona podobno zmarła, dalej nic...

— Czy krewną była?

— Czy krewną? Kto to może wiedzieć! — dodał — jedni powiadali, że krewna, drudzy, że córka... co było fałszem, a inni nic, jak my teraz, nie wiedzieli. Coś się stać musiało! — zawołał Roman — kiedy ona tu jest.

Młodzieńcowi oczy pałały, mówiąc, i pomimo pęknięcia rękawiczki, nad którem bolał wielce, bo był skąpy (to należy do tonu od niejakiego czasu), zapomniał się do tego stopnia, iż Haraburdę wziął pod rękę, wychodząc w ulicę.

— Tak wykształconych osób, jak ona — dodał — mało w życiu się spotyka... gra, śpiewa, maluje, czy

ta... pisze... mówi językami wszystkimi... umie nawet po hiszpańsku... a rozum, a dystynkcyja. A! — rzekł — to pewna, że w jej żyłach niełada krew płynie.

— Sina! — uśmiechnął się Haraburda.

— Cóż to jest? Co ona tu robić może... osoba tak wysoce... głowę tracę! Boć mówiono powszechnie, że miała zapewnionego pół miliona posagu.

Rozmowa się na tem skończyła. Romanek poszedł na zwiady, tegoż wieczora zagadnął parę osób o losy Lenory, o wojewodzinę... a przecz zaciśnięte zęby nikt nic wycedzić nie raczył. Spoglądano na niedyskretnego badacza dziejów ojczystych, tym razem zbaczającego z drogi swych studyów, chrząkało i milczano...

Na pytanie o Lenorę ten i ów szepnął:

— A! *vous parlez* o „Czarnej perelce!”

— A! Czarna perelka!... I wszyscy milczeli. Zdaje się, że to nazwanie Czarnej perelki dała jej kochająca ją nad wyraz wszelki wojewodzina.

Nic dowiedzieć się nie było można.

Jednego dnia Kaśka, naprzemian wzdychając i śpiwając, przymiała nieco w korytarzu, przez miłosierdzie szerzej nieco szczotkę puszczając, tak ażeby i z przed drzwi nieznajomej panienki pył ściągnąć, gdy leciuchno, ostrożnie drzwi się te roztworzyły, tak że przez nie nic jeszcze dostrzedz nie było można i po raz pierwszy Kaśka usłyszała:

— Moja panienko!

Uszczęśliwiona zbliżyła się do szpary... Drzwi otworzyły się nieco, ręka biała dała jej znak, aby weszła. W ręku tym bielą złotówka, jakby dla oszczędzenia słów i prośby o usługę małą... Twarz pocziwej Kasi oblała się rumieńcem... Przed nią stała nieznajoma panna w szlafrocisku, w pół ubrana, blada, mizerna i widocznie chora.

— Moja panienko — rzekła jej cichym głosem — tyś tak dobra...

Chciała jej wcisnąć złotówkę, ale Kaśka, rękami machając, cofnęła się aż do progu.

— Jeśli masz czas, bądź łaskawa, zanieś moją karteczkę lub odpraw przez kogo do doktora... Mieszka niedaleko. Sama słaba, wyjść nie mogę, miłosierny spełnisz uczynek.

— Ale jakże... ale z najmilszą chęcią — zawołała Kasia, chwytając papier żywo — odniosę zaraz. I dalibóg, niech panienka nie robi ceremonii, państwa w domu niema... jabym w czem usłużyć mogła... panna tak sama, no i słaba.

— Nic, nic, tylko proszę o doktora, bo istotnie czuję się niedobrze.

Kaśka popatrzyła, objęła wejrzeniem pokoik cały, radaby była w dłuższą się wdać rozmowę, ale pililo (jak mówiła), zerwała się biedz do lekarza... Wistocie nieznajoma panna drżała osłabiona i chwiała się na nogach.

Pomimo krótkiego pobytu na progu przedpokoi-ku, od którego drzwi do mieszkania były otwarte, Kaśka widziała wiele, a przynajmniej więcej niż ktokolwiekbydź. Ale była z tej oznaki zaufania tak dumną, iż się swemi wiadomościami wcale popisywać nie chciała.

Ludzie widzieli ją, gdy wchodziła i wychodziła przez zakłute drzwi, ale gdy się jej pytali, okryła się tajemnicą, ruszyła ramionami i nie wydała, co tam zobaczyła.

W dwadzieścia minut może po powrocie Kaśki, nadjechała karetka doktora i stary, zacny lekarz, zna-

ny całej Warszawie, żywo wbiegł na wschody; panna Lenora musiała go widzieć z okna, gdyż nim zapukał, otworzyła mu drzwi.

Wszedł do pokoiku i zdumiony, powoli zbliżał się, rozpatrując, jakby oczom nie wierzył.

— Co pani tu robi? — zapytał — co to jest?

— Nie pytaj mnie, kochany konsyliarzu, co robię, dlaczego tu jestem, czemu mnie samą i w tym stanie znajdujesz — radź mi, bom chora.

Przybliżyła się do kanapki i powoli, jakby ze słabłą, zsunęła się na nią.

Doktór milczący wziął za puls, począł badać, czoło mu się zmarszczyło, ramionami ruszył.

— Przepraszam panią — odezwał się — nie jest to niedyskrecya, ale konieczność. Lekarz musi czasem być spowiednikiem. Ja nie poznam choroby, nie rozumiejąc jej położenia.

Czarnemi oczyma smutnemi spojrzała z wyrzutem jakby na doktora panna Lenora, milczała długo, a usta jej drżały. Ręka jej, którą doktór puścił, bezwładna leżała na stole biała, wychudła, a piękna jakby na wzór dla artysty... leżała bezmyślnie rzucona i przez nią malował się stan ducha zwątpiałego, zobojętniałego na wszystko.

— Co pani tu robisz? — powtórzył doktór.

— Widzisz, jestem tu, mieszkam sama, pracuję.

— Dlaczegoż sama i tu? Co się stało z wojewodziną?...

Lenora milczała długo, ukryła twarz w dłoniach, poczęła płakać i lkać.

— Wojewodzina umarła? — spytał doktor.

— Nie żyje — cicho odparła kobieta — nie żyje matka moja i dobrodziejka... nie mam na świecie nic i nikogo...oprócz słabych rąk i obłąkanej głowy...

— Ale przecie pani byłaś w jej domu jakby własne jej dziecię, niepodobna, ażeby cię tak zostawiła.

— Ona! — zawołała Lenora — ona! ten anioł dobroci! ona! a! nie posądzajcież jej...

— A więc?

— Tak się złożyły okoliczności, tak obowiązki kazały, bym wyszła, jak mnie widzicie — mówiła, dumniejąc, Lenora — nie pytajcie mnie, nie dręczcie mnie. Błagam was! nie mogło być inaczej! Jest dobrze, tak jak jest!

Doktor słuchał milczący...

— Pani nie jesteś chorą — odparł, namyśliwszy się — ale na drodze do choroby, która się może stać niebezpieczną. Zmiana położenia, praca nad siły, przejście z wygod do mniej regularnego życia... osłabiły ją... potrzeba spoczynku, uspokojenia ducha, wzmocnienia materyalnego... Co pani jada?

Lenora się zarumieniła.

— Uczę się być ubogą — zawołała — jem chleb. czasem piję kawę, dużo wody... bułkę... niekiedy trochę mięsa.

Stary słuchał posępny, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Jako lekarz, stał wobec położenia i okoliczności utrudniających misję, nie pozwalających od razu rozstrzygnąć zawikłanego zadania.

— Ale to właśnie i praca nad siły rodzi chorobę! — zawołał — siedzenie! zamknięcie!

— A cóż robią ludzie, jak ja ubodzy, i na pracę skazani?

— Oni są po większej części nawykli do niej i do niedostatku.

— A ci, których wśród dostatku spotka nędza i narzuca się im praca?

— Ci tak chorują, jak pani! — rzekł lekarz — często nawet, nie będą tego pani ukrywał, nagle zmiana wywołuje nie tylko chorobę, sprowadza śmierć.

— O! śmierć! — odezwała się, ruszając ramionami — śmierć nie jest straszna; co istotnie trwoży, to bezsilność i choroba... — Zalamala ręce.

— Mówże pani ze mną szczerze — po chwili wstając z krzesła i zaczynając się przechadzać, powiedział doktor. — Wiesz pani dobrze, jak święte i wielkie są obowiązki nasze, chciałbym je choć w części spełnić. Nie kryj pani przedemną nic. Chcesz sobie sama wystarczyć i pewnie chwytasz się pracy niewłaściwej, gdy z jej talentami, nauką, mogłabyś łatwo...

— Przepraszam cię, doktorze. . chcę być samotną... nie chcę stosunków ze światem żadnych, ani żadnych dlań zaciągać obowiązków.

Lekarz zamilkł.

— Ja się więc pani nie na wiele przydam — rzekł — popelniasz pani przez jakąś dumę rodzaj dobrowolnego samobójstwa. Co to pomoże, jeśli jej powiem: karm się mięsem, używaj ruchu i bądź wesołą.

— Ostatnie jest najlepsze — uśmiechając się, przerwała Lenora — admirowałam zawsze panów, zalecających pacjentom, ażeby się nie kłopotali niczem i unikali zmartwień, powinniście o to prosić Pana Boga!

— Lekarstwa innego do zapisania nie mam nad beefsteck... wino czerwone, zdrowy stół, świeże powietrze i ruch...

Lenora westchnęła — To się równa wyrokowi na chorobę...

— Pani kochana — rzekł śmiejąc lekarz, siadając za stół znowu — powiedz mi szczerze swą historję, objaśnij położenie.

— Znasz je pan! widzisz ubogą sierotę bez żadnych zasobów, zmuszoną do pracy, zepsutą pieśzczo-tami i wygodami; dumną, złą, upartą i bardzo biedną.

Wstał stary zniecierpliwiony, biorąc za kapelusz.

— Zostały pani z dawnego jej położenia znakomite stosunki...

— Nikomu nic winną być nie chcę...

Doktór ruszył ramionami.

— Cóż znowu! — zawołał prawie gniewnie — co za niedarowane dziwactwa!

Na te słowa powstała nagle Lenora, zarumieniwszy się, ale po chwili padła na siedzenie, bo się na nogach utrzymać nie mogła. Lekarz, podbiegłszy, posadził ją, widząc większe niż się domyślał osłabienie.

— Nazywasz to pan dziwactwem — odezwała się — sąd jest surowy — Odzywać się do ludzkiej pomocy może tylko ten, kto ma do niej jakieś prawa. Ja nie mam żadnych, ja żadnych nie roszczę, ja sobie samej chcę być winna przyszłość, jeśli ją mam jaką.

— Jest to choroba dumy — łagodniej dodał lekarz.

— Ale choroby są w naturze człowieka, i ta moja gnieździ się we krwi... inną, jak jestem, być nie mogę.

Zmarszczyła brew, coś dzikiego patrzyło z jej ślicznych rysów, którym osłabienie i wychudzenie nadawało wyraz jeszcze więcej uderzający.

— Pani kochana, pocóżżeś mnie tu wezwwała, abym był świadkiem chyba i z bólem ztąd odszedł... Cóż ja ci mogę poradzić, jeśli się chcesz zabić?

— Nie, zabić się nie chcę — odpowiedziała słabym głosem — choć życie dla mnie jest niezrozumiałe, choć nie pojmuję, na com się urodziła, rozumiem, iż nie przyszłam na świat bez celu, dla igraski... Czuję więc obowiązek wypić czarę do dna...

Samobójstwo w jakikolwiek sposób jest świętokradzkim porwaniem się przeciwko wyrokowi Bożemu.

— Dlaczegoż nie chcesz pani pojąć zarazem,

że jeśli życie ludzkie ma cel, nie może go mieć wzięte pojedynczo, zrozumieć je można tylko w związku ze społeczeństwem... A zatem od tej spójni dla dumy się odrywać, nie chcieć stosunków z ludźmi, jest także sprzeciwieniem się Bożym wyrokom.

— Sofista jesteś, doktorze — odparła głosem słabym... I spuściła głowę, i po kobiecemu płacz ją porwał, jęknęła, dodając: — Nie mogę! nie mogę...

— Co pani nie możesz?

— Nic! nic! już milczę! nerwy mam podrażnione — rzekła nagle, opanowując się — nic!

Doktor, człek zacny, w którym długoletnia praktyka ludzkich niedoli zamiast serce przygłuszyć, rozwinęła uczucie i wyrobila miłosierdzie, nie mógł tak chorej porzucić.

— Jeszcze pytanie — rzekł. — Mówisz mi pani, że nie masz nic... że chcesz żyć z pracy,

— Tak jest...

— Z jakiej?

— Z pracy rąk... szyję... haftuję...

Lekarz ruszył ramionami.

— Ale to marnowanie sił! to potrafi lada dziewczę bez wykształcenia. Znasz pani muzykę, języki, literaturę, rysunek... z tem przecie z głodu się nie umiera.

— Tak, ale z tem trzeba iść w świat, zebrać zajęcia, spijać upokorzenie i narażać się na najfalszywszy stosunek... Jestem nawykła do swobody,

trzeba się uczyć służbiści i uległości... Ja tego nie mogę... ja przecież jestem kobietą i nie mam siły wejść w ten świat, w którym żyłam na stopie niepodległości i równości, jako służebnica zapłacona.

— To дума, brak siły moralnej, siły ducha — rzekł surowo lekarz — to uznanie słabości.

— Co chcesz! prawda, a'lem słaba! — kryjąc oczy ręką, zawołała Lenora — nie mogę. Drugie o dnia wybuchnąłoby ze mnie oluzzenie... duch buntowniczy, który we mnie mieszka. Pieszczona, zepsuta, dobrocią na stos się dam zaprowadzić, siłą ani na tron!

Doktor zamilkł.

— Dość — rzekł — tego gadania, pan! się męczysz bezpotrzebnie... na dziś egzamin skończony. Od lekarza możesz śmiało przyjąć obiad, który ci przysłę... bo go zapisuję jako receptę...

Zaczerwieniła się Lenora i zalamala ręce.

— Na miłość Boga! nie czyń tego, otrujesz mnie — zawołała z ogniem w oczach — ja mam za co kupić kawałek mięsa... nie czyń ze mnie łaską żywionej żebraczki!

— Dobrze! dobrze, nic nie przysłę — pospiesznie rzekł doktor — ale jeśli znajdę robotę w domu, mogącą się odbywać, stoscwniej ją dla pan!...

— Wymodloną? przez miłosierdzie? doktorze! — krzyknęła Lenora.

— Nie proszona, ale o którą pani się będzie prosić. Cóż to znów za szaleństwo! — dodał groźnie.

— Zobaczymy... zobaczymy...

Podala mu rękę, zatrzymała chwilę dłoń do-
ktora, podniosła oczy łzawe i szepnela:

— Doktorze! upokorzona ucieknę... skryję się...
oszczędzaj chorobę duszy mojej, choćbyś ją potępiał...
Mów sobie, żem chora i zasługuję na litość i posza-
nowanie.

Stary nie powiedział słowa, ucisnął jej rękę
i wyszedł krokiem powolnym zamyślony głęboko, jak
ten, który dotknął rany nieuleczonej i nie wie, co z nią
pocznie.

Drzwi się za nim zamknęły, a w korytarzu
cisza była znowu, i z samotnej izdebki żaden głos nie
dochodził. Kaśka ośmielona zapukała, puszczo ją,
poszeptała coś i uszczęśliwiona wyszła, czując się
tem zaufaniem tajemniczej panienki podniesioną. Nie
chciała już tego dnia nawet gadać z kucharką.

Kilka dni potem Kasia chwaliła się prześliczną chustką, która, zdaniem wszystkich znawców, zgromadzonych w kuchence państwa Melchiorostwa, mogła być warta jakie sto złotych może, kto wie? nawet więcej. Pochodziła ona z narzuconego jej gwałtem daru panny Lenory, z czem się nie tała. Wchodziła teraz do jej pokoiku i wychodziła swobodnie, kręciła się, była dumną i szczęśliwą, ale co do szczegółów tyczących się panienki nader oszczędną. Nic z niej wydobyć nie było można, oprócz, że Lenora chorą była nieco i że osoba ta, niezmiernej dobroci i grzeczności, całe serce Kasi chwyciła...

— A już to panna! to panna! — mówiła ona — to zaraz znać, że to nie lada jakie, ale pewnie dobrego domu dziecko... takie delikatne i ludzkie... Żeby to się poskarżyło... żeby zażądało czego, jeszcze się jej narzucać trzeba, a chciałyby tylko dawać a dawać, żeby człeku najmniejszą pracę wynagrodzić.

Jednego dnia Kasia stała we drzwiach, gdy nieznajomy mężczyzna zbliżył się, zaglądając do nich... Młody był i piękny, ale wyraz jego twarzy nic podobał się Kasi.

— Panna nie wie, czy tu mieszka panna Lenora Zara? — zapytał.

— A tu — albo co?

— Chciałem się z nią widzieć...

— Ja nie wiem, bo chora — rzekła Kasia. — Młody pan dobył z pugilaresiku z kości słoniowej, herbem rzeźbionym ozdobnego, bilet, na którym stał jakiś rogaty znak w kacie, podał go Kasi i prosił, aby podała go pannie Lenorze z żądaniem widzenia się.

Kasia wśliznęła się...

Lenora siedziała z tą bezwładnością zamyśloną, z jaką przy mechanicznej pracy siedzi człowiek nie nawykły do niej; głos Kasi obudził ją jakby z uśpienia.

Na widok podsuniętego biletu, tylko okicm nań rzuciwszy, zaczerwieniona porwała się, ręce się jej zatrzesły i głos ledwie z ust mógł dobyć.

— Nie mogę — zawołała — jestem chora, ani dziś, ani później — nigdy, powiedz temu panu... Nigdy!

I padła na kanapkę, a po chwili za Kasią pobiegła drzwi zaryglować.

Młodzieniec stał zamyślony u progu. Zrazu zdawał się nie dobrze rozumieć. Kasia mu powtarzała: — Proszę pana, panna Lenora przeprasza (to do-

dała z własnej inicjatywy), że się widzieć nie może, ani teraz, ani — nigdy.

Nieznany pan podniósł głowę... milczał.

— Wyraźnie mówiła, proszę pana, ani teraz — ani — nigdy.

Popatrzył na Kasię i jakby znajdował niewłaściwem dłużej z nią rozprawiać, skrzywił się, kiwnął głową i zwolna odszedł. Szedł zadumany, jakby sądził, że go napowrót zawołają. Kasia patrzyła za nim na schodach, widziała, jak mu się ramiona ruszały, kapelusz trząsł, jak fatalnie jakoś machał łaską, mykał się po schodach i znikł.

Kasia już miała odchodzić, gdy kapelusz zjawił się na nowo, łaska także, ramiona i podniesiona głowa zdawała się jej szukać.

— Panienko!—zawołał, wskazując, aby ku niemu zeszła.

Służaca pochyliła się nieco.

— A co?

Wyciągnął paperek z uśmiechem jakimś nie miłym.

— Puść mnie waćpanna! ja się wytłumaczę.

— Co? co? — z oburzeniem odparła, cofając się sługa — ot to także...

Mężczyzna postrzegł, że z tego nic nie będzie, skrzywił się i znów zbiegł na dół. Ta próba przekupstwa smutnie o nim dała wyobrażenie służącej, ale

nie wspomniała o niej pannie Lenorze, ani żadnemu ze znajomych.

— Proszę ja kogo! — mruczała tylko, nie mogąc się uspokoić — to łotra kawal! myślał, że za pieniądze kupi sobie wejście... O! już pewnie z niczem dobrem nie przyszedł! Dopilnuję ja, żeby mi się tu nie pokazywał... a jeśli zechce gwałtem się cisnąć, tak go miotłą zamaluję, że popamięta! Patrzcie - no go! nądrala!

N parę dni przyszedł znów doktor, tym razem nie wezwany, ale musiał dobrze do drzwi pukać, nim go wpuszczono. Zastał Lenorę nad robotą, bladą, z oczyma zaczerwienionemi, ale na pozór spokojną i pojednaną ze swym losem. Zdawała się silniejszą.

— Przyszedłem się dowiedzieć, jakże pani jest? — rzekł, stając na środku pokoiku i rozglądając się po nim uważniej niż pierwszym razem.

Izdebka była od ulicy, nieźle oświetlona, mała, czysta, w jednym kącie jej łóżeczko pokryte kapą ciemną, stoliczek z książkami, w drugim szafeczka, komódka i wielki stół do roboty. Stosy nut i książek leżały pozwiązane sznurami na podłodze, bo ich nie było gdzie roznieść. Przed kanapką stół cały był zarzucony bielącą i koronkami do naprawy. Lenora machinalnie trzymała w rękach jeszcze swą robotę.

— Jakże pani jest? — spytał doktor.

— Lepiej mi, dziękuję konsyliarzowi, zupełnie nawet dobrze — odpowiedziała ze spokojem udanym — naturalnie z każdym położeniem nowem ciało i dusza człowieka oswoić się musi... Przebyłam snąć przesilenie i czuję się... dobrze! zupełnie dobrze!

Spojrzała na niego, kiwał głową niedowierzająco.

— A więc? — spytał.

— Więc zostanę jak jestem... mój kochany konsyliarzu — dodała cicho — ale ponieważ byłeś łaskaw mnie odwiedzić, pozwól się prosić...

— O co tylko każecie!

— O jedną rzecz, która was nie wiele kosztować będzie.

— No, no, bez wstępów.

— Dajcie mi słowo, że o mnie nie wspomnicie nikomu! nikomu!

Doktór milczał, ona jakby czekała, a nie doczekawszy się odpowiedzi, dodała zaraz:

— Mam na was maleńkie posądzenie.

— Na mnie? ciekawym?

— Widzieliście się gdzieś z panem Alfredem.

Doktór milczał.

— Powiedzieliście o mnie, wskazaliście mu adres i zrobił mi tę niewysłowioną przykrość, że chciał mnie odwiedzić.

— A wy...

— A ja byłam zmuszoną go nie przyjąć i nie przyjmę nigdy, a jeżeli się uprze pukać do drzwi mo-

ich... no, to ze stratą dla siebie wyniosę się tam, gdzie mnie nie będzie mógł znaleźć.

— Przepraszam kochaną panią — odezwał się doktor po chwili milczenia — mogę dać słowo uczciwego człowieka — że pana Alfreda nie widziałem i że mu o mieszkaniu pani nie mówiłem wcale.

— A któż mu to mógł powiedzieć?

— No, nie wiem, ale nie ja. Ponieważ mnie pani posądziłaś niesłusznie, mam prawo się czemś pomścić i będę panią dręczył.

Jeszcze raz powtarzam, uchwyciłaś się pani najniepraktyczniejszej w świecie idei żyć z tego, co najmniej umiesz i co najgorzej płaci. Jest to, jakby jubiler został dobrowolnie kowalem. Jeśli miłość własna wasza cierpi na tem, że cię znano w innem położeniu, jedź gdzieindziej, ale nie mórz się głodem dla fantazyi.

— Przepraszam — dodał doktor — panna jesteś młoda, mówię jak ojciec.

— Jak od ojca przyjmuję i jak przed ojcem się dospowiadam do końca.

Rzuciła robotę na stół, założyła ręce, poczęła mówić głosem słabym, który co chwila rósł, stawał się patetyczniejszym, bardziej przejmującym.

— Nie mogę iść szukać chleba tam, gdzie niedawno byłam równą... gdzie mnie sadzano na pierwszym miejscu... nie dla fałszywego wstydu, ale dlatego, by mnie palcami nie pokazywano. Mogłabym,

ma z słuszość... oddalić się, ale wiesz, doktorze, co to oddalenie od miejsc, pełnych pamiątek dla sieroty, co niema nikogo na świecie... Nie miałabym siły na to. Moje wspomnienia są mi rodziną, przeszłością, ojczyzną... tu mogę pójść na grób przybranej matki mojej, tu mi się zdaje, że ją jeszcze mam, tu ja nie sama... nie zupełnie sierota... Wypędzona ztąd, umarłabym z tęsknoty...

— Zatem — rzekł doktor, siląc się na okazanie chłodnym, aby jej wzruszenia nie zwiększyć — zatem, co lepiej? z tęsknoty umierać, czy z głodu?

Cichuteczko szepnęła Lenora:

— Z głodu, doktorze.

— Niema co mówić, ceruj pani bieliznę...

Wstał z krzeselka... Lenora z uśmiechem rezygnacyi podała mu rączkę, a doktor zatrzymał ją, aby puls wy badać i po chwili dopiero puścił.

— Doktorze — powtórzyła — ani słówka o mnie.

— Bardzo dobrze! stanie się, jak pani chce, ale jeśli pan Alfred już wie o jej miejscu...

— Nie spodziewam się, aby tu przyszedł po raz drugi.

— Ja przeciwnie.

— Nie znasz pan pana Alfreda — błędniejąc i drżąc, odparła Lenora — były to odwiedziny dla przyzwoitości, nieuniknione, nie wróci więcej, bo wie, że go nie przyjmę nigdy.

Po wyjściu doktora, drzwi zostały otwarte

i w chwili, gdy tych słów domawiała, z przerażeniem usłyszała pukanie, a po niem natychmiast ukazał się w progu mężczyzna młody, słusznego wzrostu, ten sam właśnie, o którym była mowa.

Światło od okna padalo wprost na jego twarz pięknych rysów, ale dziwnie przykrego, zimnego i dumnego razem, nielitościwego wyrazu. Na widok jego Lenora porwała się z kanapki, dając znak doktorowi, aby został, i drżącą ręką wskazała na drzwi.

— Przepraszam pana — rzekła — ja jestem chora i nie przyjmuję nikogo.

Pan Alfred stał z miną kwaśną.

— Powtarzam panu — dodała, ukazując drzwi — jestem u siebie, nie przyjmuję nikogo.

— Nawet mnie? — rzekł sucho mężczyzna.

— Nikogo! nikogo! — z nerwowym wybuchem, podnosząc głos, wołała Lenora — a jeśli jeszcze raz zechcesz pan niepokoić mnie, będę zmuszoną zmienić miejsce, uciec z miasta.

Pan Alfred począł się uśmiechać; spoglądając na niezadowolonego doktora, ruszył ramionami.

— Biorę kochanego konsyliarza za świadka, że przychodziłem, zem chciał ofiarować moje usługi... że je stanowczo odrzucono...

— Żadnej pomocy od nikogo nie potrzebuję — dumnie i stanowczo zawołała panna Lenora.

— Słyszę, podziwiam — uśmiechając się, dodał pan Alfred — ale...

— Proszę pana wyjść. Widzisz pan doktora, który przyszedł mi radzić... czy to nie starczy?

— Słowo tylko, jedno słówko — zimno odpowiedział pan Alfred — wszystko to dobre, ale potem... potwarz na nas rzuca, że my nie spełniliśmy, cośmy byli powinni... Świadkiem niech będzie doktor.

Lenora gwałtownie odwróciła się, jakby z rozpaczą od pana Alfreda.

— Powiedźże mu, konsyliarzu, że ja nie mogę nietylko mówić, ale słuchać, że to mnie zabija.

Doktor, naprawdę przeląszyć się egzaltacyi, z jaką te wyrazy wymówione zostały, skłonił się, podszedł do mężczyzny i ująwszy go pod rękę, prawie gwałtem wyprowadził z pokoju.

Zeszli ze schodów w milczeniu, ale po fizyognomii Alfreda znać było, że potrzebował się wygniewać i wygadać.

— Kochany konsyliarzu — rzekł, gdy stanęli w bramie — mimowolnym byleś świadkiem niemiłej sceny między mną a panną Lenorą. Idzie mi wielce o zdanie twe i sąd w tej sprawie, uczyn mi tę łaskę i racz zająć do mnie, abym mógł i siebie i rodzinę ciotki mej, pani wojewodzinej, wytłumaczyć...

— Ale cóż ja mam za prawo się w to mieszać?

— Ja pana proszę... ja chcę, byś ludzi zlej woli mógł objaśnić...

— Wolalbym wcale o niczem nie wiedzieć — rzekł skłopotany doktor — czasu mam mało.

— Pół godzinki, opowiem wszystko w krótkości.

Pochwycony pod rękę, pociągniony niemal gwałtem, doktor, rad nie rad, zmuszony został pójść za panem Alfredem do mieszkania, które on tymczasowo w hotelu Angielskim zajmował.

Apartament młodego panicza zwiastował bardzo zamożnego człowieka. Służący w herbowej liberyi zjawił się zaraz w progu.

Alfred przykazał mu, aby nie wpuszczał nikogo, podał doskonale cygara gościowi i przysunawszy fotel, rozpoczął w te słowa opowiadanie z chłodem, w którym źle ukrywane tało się podrażnienie.

— Muszę rozpocząć, niestety, tę smutną historję heroiny od jej pierwszych początków. Ciotka moja, wojewodzina, jak zapewne konsyliarzowi wiadomo, była w pierwszym swem małżeństwie bezdzietną; już nie w pierwszej młodości wyszła za drugiego swego męża, który jej staraniem kreowany był w r. 1831 wojewodą. Człowiek to był niemający, wcale dobrego, nie bez zalet i talentów, ale słaby i winien wszystko żonie, pełnił jej wolę, całe życie pod pantoflem spoczywając. Wojewodzinę wszyscy zwali aniołem dobroci, była wistocie dobrą, jak są egoiści, którzy z całym światem chcą być w zgodzie, aby im nic ulubionego, pieszczonego spokoju nie przerywało. Wojewodzina pod tym pozorem dobroci, dobroczynności, łagodności, kryła samowolność, egoizm, dzi-

wactwa najosobliwsze. Niegdyś bardzo piękna i uwielbiana, na starość słodyczą i poćlebstwem jednała sobie serca, potrzebując od ludzi kadzideł, woni i słodyczy.

Zresztą była miłą, uprzejmą... dla wszystkich równie uczynną, najbardziej dla tych, których się obawiać mogła.

— Surowym pan jesteś — szepnął doktor.

— Jestem sprawiedliwy — sucho odparł pan Alfred. — Jeszcze za życia męża, nie mając dzieci, a wiecznie potrzebując, aby ją ktoś w rękę całował i pieścił, i do nóg jej padał, wojewodzina wzięła na wychowanie sierotkę... naprawdę nikt nie wie dobrze zkąd, jakiego rodu... nie mogę przysiąc, żeby to nie było żydowskie lub cygańskie dziecko nawet... słowem podrzutka jakiegoś... przywiązała się do niego do szaleństwa... bo dzieciak mądry udawał, czy wistocie kochał ją namiętnie!

Cóż dziwnego! wzięto to z pod płotu, ze śmieciska, a wychuchano jak pańskie dziecko, wykołysano w koronkach; nie było dla kochanki tej nic za drogiego, ani sukienki, ani nauczyciele, ani fantazyjki jej... Zabawki sprowadzano z Londynu... bony z Paryża... a że dziecina jeszcze była ładna, dowcipna, utalentowana, bystra... wojewodzina bawiła się nią zupełnie, jak to się stare panie bawią piaskami, nie pomnażając, że piaskiem potem, nawykłym do pieszczot, złe na świecie być może.

Familia wojewodzinej sprzeciwiać się temu nie mogła... Majątek miała ogromny, a narazić się jej, było to wykluczyć się samemu od spodziewanego spadku. Wszyscy więc nie tylko padali przed wychowanką, pochwalali fantazyę staruszki... ale starali się przez pannę Lenorę łączyć jej pozyskać. Lena była panią wszechwładną majątku, domu, serca wojewodzinej. Ale cóż było na to poradzić... Musieliśmy milczeć.

Wiedzieliśmy, że w testamencie, choćby chciała, znacznego jej legatu nie zrobi, a w ostatku spodziewaliśmy się zrobiony nawet unieważnić. W ostatnich latach przed śmiercią, w miarę jak słabła wojewodzina, władza wychowanki stawiała się coraz większą... a jednej chwili bez niej staruszka się obejść nie mogła.

Nie mogę nic powiedzieć przeciwko pannie Lenorze, nie zepsuło jej to na pozór, ale wykołysało w niej dumę i miłość własną niezmierną.

Jako siostrzeniec wojewodzinej, bywałem bardzo często w jej domu; byłem młody, Lenora była i jest piękną; ciocia widziała mnie rada czule się zbliżającym do niej, byłem więc grzeczny, ale nic więcej, tylko grzeczny. Czy wzięła to opamiętanie i wyobraziła sobie coś więcej niż było, o tem nie wiem. Ciocia zaprowadzała mnie wiele razy, starała się mnie wybalować; chwaliłem Lenę, ale miałem się na ostrożno-

ści, nie chce ani drażnić staruszki, ani się kompromitować.

Że mnie ciągnięto i życzo no sobie, to nie ulega wątpliwości... a że ja z lada przybędą nie mogłem się żenić ani pomyśleć, to pewna. Myśl taka mogła się tylko zrodzić w głowie zdziecinniałej staruszki i rozpieszczonego, zepsute go stworzenia.

Ruszył ramiony pan Alfred, spoglądając na do ktora, który palił cygaro i zapatrzył się w okno.

To wstęp do tej historii — mówił dalej pan Alfred. — Powtarzam, że nie ujmuję bynajmniej pan nie Lenorze wysokich zalet... jest to osoba, mogąca na królewskich wystąpić salonach... Wojewodzina ją do śmie szności ubóstwiała.

Już pod koniec życia, kiedy staruszka była cho ra i z krzesła się nie ruszała... a my coraz bardziej naturalnie trwożyliśmy się o ten nie szczę sny testa ment, wysłała mnie matka do cioci niebo szczki, aby ją ująć w jakikolwiek sposób, słysząc, że się zbiera ła do zrobienia tego aktu stanowczego. Szło nam o to, aby nie przekazała majątku drugiej siostry dzie ciom. Pojechałem...

Drugiego, czy trzeciego dnia pobytu, staruszka, jakem się spodziewał, oddalivszy od siebie cały dwór, przywołać mnie kazała. Była to chwila sta nowcza, jak dziś pamiętam rozmowę.

— Fredku mój — rzekła staruszka, kładąc mi wychudłą rękę na dłoni — ja się coś źle czuję, po-

dobno mi już niedługo na tym świecie przyjdzie z wami pozostać! Co się wówczas stanie z moją drogą córką, z moim aniołem, z moją Lenorcią? Tyś jej zawsze okazywał wiele współczucia, wiele dla niej sympatyi, ja w tobie pokładam nadzieję, że ty swój los z jej losem połączysz. Jest godną ciebie... wychowałam ją jak królewskie dziecię... śliczna, rozumna, utalentowana... miła, dobra... Ktoż zważył na pochodzenie... Ona była jakby mojem własnem dziecięciem...

Alfredku... uspokój mnie...

Cóż miałem uczynić, kochany konsyliarzu... co? powiedz? Miałem powiedzieć jej — nie chcę! nie mogę? Musiałem zbyć kobiecinę dwuznacznictwem, aby jej nie martwić, w duszy przyrzekając sobie, że będę się starał pannie Lenorze to wynagrodzić.

Ożenić się, mimo jej ślicznych oczów, nie mogłem; cici tego powiedzieć nie było podobna, odrzekłem więc ni to ni owo. Dalem słowo tak, jak ci tu mówię:

— Niech ciocia będzie o los panny Lenory spokojną!

I pocałowałem staruszkę w rękę, stara pocałowała mnie w głowę i na tem się skończyło. Na tej podstawie staruszka zroiła testament, zapisując nam cały majątek, a Lenorze parękroć sto tysięcy tylko.

— A więc był zapis dla niej! — zawołał doktor.

— Którego ona nie przyjęła — odparł pan Alfred — dlatego, że jej się pewnie zdawało, iż cały majątek jej się należy razem ze mną. Parę kroć sto tysięcy było za wiele dla niej, to pewna, ale byśmy byli jej pensyę zapewnili... Tymczasem ciocia zmarła...

Do ostatniej godziny byliśmy przy niej; to prawda, że umierając, jeszcze rękę panny Lenory i moją razem ścisłała w stygnących już dłoniach. Nie chciałem jej martwić i sprzeciwiać się, myślałem, że dziewczyna ma przecież tyle rozsądku, iż zrozumie tę komedję przymusową. Ale nie, jej się śniło, że ja się z nią ożenię, wbiła to sobie w głowę, a gdy mama po śmierci cioci dała jej do zrozumienia, kim ona jest i jakie dla niej właściwe stanowisko... zabrawszy tylko, co miała sobie przez nieboszczkę darowanem, nie chcąc od nas nic wręcej, wyleciała zagniewana. Oto masz, kochany konsyliarzu, całą historję w ogólnych rysach. Powiedz mi, com ja tu winien? Mógłżem postąpić inaczej! Nie jestem bez czucia, bez serca, czuję, że coś dla niej zrobić należy przez samą pamięć dla nieboszczki... ale przyznam ci się, że ani tych zapisanych dwóchkroć, ani takiego głupiego ożenienia... wymagać po nas nie może...

Cała rzecz — ciągnął pan Alfred — rozpieszczone to, zepsute, dumne... a zapomniało, że czem jest, winna cioci... że wałalały się gdzieś po karczmach może, gdyby nie ona. Alboż to male dobrodziejstwo

talenta, które z *naszej* łaski posiada, wykształcenie, ton dobry... może pójść gdzie za guwernantkę... ma los i chleb w rękę. Z tego, co ciocia jej dawała, garderoby, fraszek... niceśmy jej nie odebrali, choć były rzeczy bardzo kosztowne, pamiątkowe... zapakowała, co chciała wywiozła. Jeden fortepian Erarda mama zatrzymała dla salonu, choć niby jej był, bo nawet nazwisko stało wypisane... No! ja tego nie pochwalam... ale proszę doktora! mama mogła to uczynić! Należał do salonu...

Doktor palił cygaro, nie dając najmniejszego znaku ani zgody, ani przeciwnieństwa, słuchał martwo i tak, jakby już naprzód wiedział, co mu ten pan powie, zdając się tylko z upragnieniem czekać końca.

Pan Alfred tryumfująco skończył z uśmiechem człowieka, który pewien jest, że przekonał i spodziewa się głośnej aprobaty. Zdziwił się, nie mogąc z ust doktora doczekać się ani słowa.

Po długim przestanku doktor westchnął, wziął kapelusz powoli, skłonił się i chciał odchodzić.

— No... ale jakże... szczerze? mów! cóż sądzisz, jak miałem postąpić? — naglił Alfred.

— Jak pan miałeś postąpić, nie wiem — rzekł doktor chłodno — ale to pewna, że ja na jego miejscu byłbym ani staruszki, ani panny nie zwodził.

— No tak! a spadek poszedłby na drugą linię! — zawołał Alfred, ręce łamiąc — wiesz, konsyliarzu, że to przecie parę milionów.

Doktór nic nie odpowiedział i znów się wybierał.

— Czekaj, słowo! — dodał młodzieniec, chwytając go. — Znasz ją, wiesz teraz interesa, bądź pośrednikiem. Damy jej pensyi dożywotnej parę tysięcy i niech nam da pokój... Co?

— Mogę was zapewnić, że gdybyście jej cały spadek po wojewodzinie oddać chcieli, to go nie weźmie.

Alfred się cofnął.

— Ja to ofiaruję z litości, obowiązku nie mam...

— Właśnie tej litości ona nie zechce od was. Ale, szanowny panie, pozwól sobie powiedzieć, że gdyby ona mniej była bezinteresowną, a znalazł się prawnik śmiały, wyprocesowałby z was łatwo całe dwakroć sto tysięcy.

— Nie — rzekł zimno Alfred — ja byłem w czasie pisania testamentu i dopilnowałem się. Zapis jest nieformalny.

— Jakto? w jednym testamencie dar dla was ważny, a dla niej nieformalny? — z oburzeniem ironicznie spytał doktor.

Pan Alfred bynajmniej się nie zmieszał.

— Nie jesteś prawnikiem, doktorze — odpowiedział — co innego jest zapis dla rodziny, czem innym dar osobie obcej. Powinna go była inną uczynić formą.

Zwycięzko się uśmiechnął.

Lekarz spojrział i nie odpowiadając ani słowa, tym razem na dobre pożegnał pana Alfreda i oddalił się. Po wyjściu jego młody panicz zapalił nowe cygaro, siadł w fotelu i zamyślił się.

— Ha! no! nie chce nas znać! nie chce nic — to nie! mniejsza o to! — zawołał, konkludując — to mi wszystko jedno!

Głochiaż pan Alfred mówił przed sobą, że mu to zupełnie było jedno, iż go panna Lenora znać nie chciała, nazajutrz wszakże, przeszedłszy się po świecie, podrażniony kilku szyderskimi pytaniami i pewnym tonem, z jakim go po towarzystwach spotykano, musiał nieco zmienić przekonanie, gdyż z wieczora postanowił dostać się jeszcze do Lenory i rozmówić z nią koniecznie.

Zamknięte i wyraźnie zakazane mu drzwi jej nie zdawały się dlań przeszkodą nie do przemożenia, raz bowiem już ten próg mimo woli pani przestąpił, i nie wątpił, że powtórzyć to potrafi.

Był pewny prawie, że doktor będzie znów u swej pacyentki, postanowił z tego podobnie jak pierwszym razem korzystać. Znając bardzo dobrze miasto, zasiadł w niedalekiej cukierni, czatując na konsyliarza, którego karetka wistocie zatrzymała się przed pałacem Zamoyskich. Pan Alfred, przepuściw-

szy doktora przodem i dawszy mu wnijsć na piętro, wsunął się za nim... A że rozmowy swej z paną Lenorą nie chciał go mieć świadkiem, skłonił się do wyczekiwania w korytarzu na spodziewane rychłe wyjście konsyliarza. Wszystko to wcale niezgrabnie było ukartowane, a jednak, jak wiele śmiałych pomysłów, udało się nieźle. W chwili, gdy doktor wychodził, nie patrząc na przyciemniony korytarz, pan Alfred po za nim niezaryglowane drzwi otworzył, szybko je za sobą zamknął i stanął przed zdziwioną tem zuchwalstwem Lenorą.

Wyraz jej twarzy malował dostateczne oburzenie, które nią całą wstrzęsło na widok śmialka, co się stawiał, z dumą i zuchwalstwem narzucając... Nie znalazła wyrazów w pierwszej chwili na ustach... i ręka tylko konwulsyjnie podniesiona drzwi mu wskazała.

— Przepraszam panią — gniewnie zawołał pan Alfred — czy się pani podoba, czy nie, rozmówić się raz musimy. Winnaś to pani jeśli nie mnie, to tej rodzinie, której obowiązana jesteś wszystko... to pamięci mej ciotki...

Milcząca Lenora ruszyła ramionami, bała się ust otworzyć może, by zanadto nie powiedzieć.

— Tak jest — kończył pan Alfred, krocząc ku środkowi pokoju — wymagam rozmowy stanowczej.

— Słucham pana.

— Raz, rozrachunek między nami musi być

skończony... Pani winnaś mej rodzinie być, wychowanie, talenta, opiekę... i odwdzięczasz się jej za to, rzucając na nią swem postępowaniem cień... potwarz, posądzenie.

Lenora się podniosła z brwią straszliwie zmarszczoną.

— Aniołby nie wytrwał... nie przeniósł cierpliwie tego, co mi pan śmiesz mówić. Wam, rodzinie waszej, nie winnam nic, wszystko zmarłej mej świętej opiekunce... z wami nic mnie nie wiąże, i nie chcę, by mnie cokolwiek łączyło. Otrząsałam proch z nóg mych, rzucając dom, który się stał waszym.

— Za cóż te gniewy? za co? — podchwycił Alfred — czy za zawiedzione nadzieje, któremi ja nigdy pani nie karmilem! Dla ośłodzenia cioci ostatnich chwil musiałem potakiwać, nigdy nic nie przyrzekając...

Wielkim dzikim śmiechem otwarły się usta Lenory i ręce, uderzając je o siebie, załamała.

— Jakto? pan myślisz, pan posądzasz mnie, że jam kiedykolwiek na jedną sekundę, na chwileczkę dała się uwieść tej komedii, że ja nie rozumiałam? A to wyborne? Pan nie wiesz, że miałabym się za najnieszczęśliwszą istotę na ziemi, gdyby mnie był los do was przykuł. Raczej śmierć! Jam także dla tej nieszczęśliwej opiekunki, dobrodziejki mej, tego anioła, musiała się skłonić do posłuszeństwa pozornego jej woli, aby o los mój spokojną usnęła. Ztamtąd,

z niebios, widzi ona moją ofiarę... spełnioną z rezygnacją, mimo całego wstrętu mego do fałszu, którym ja także karmić ją musiałam. I pan pomyśleć mógł, że ja!! — Rozśmiała się dziko... Pan Alfred obrażony stał, kręcąc kapeluszem.

— Na miłość Boga, ja do was, panie Alfredzie, najmniejszego nie mam żalu... waszą grę od pierwszej chwili widziałam jasno, rozumiałam doskonale i pomagałam jej dla spokoju staruszki...

— Przypuszczam, że tak było, jak pani mówi — odparł sucho Alfred — za cóż gniewy? dąsania...

— Ani gniewu, ani dąsania, tylko pozwólcie, że żadnych stosunków mieć nie mogę i nie chcę z rodziną pańską... Ja, jak wy mówiliście nieraz, jestem sierotą z pod płota wziętą, co prawda... wy należycie do innego świata...

Ukłoniła mu się, odchodząc od okna, on stał zły...

— Jam wam wszystko winna, wy mnie nic? a zatem pocóż mnie dręczycie? powiedzcie, com dłużna i jak mam wypłacić?

— Tem przynajmniej, abyś pani ku nam nawiąści nie miała — rzekł Alfred.

— Tej nie mam wcale... zaręczam, inne uczucie zostawiliście w mem sercu. Uwolnijcież mnie od tortury! błagam. Czego pan chcesz?

Alfred zmieszał się i nie wiedział już co mówić.

— Zgody — rzekł...

— Ani kłótni, ani zgody być nie może, gdzie społeczne stanowiska są tak różne, iż stosunku nawet nie dopuszczają.

Położyła rękę na czole, wskazując, że głowa ją paliła, odeszła znów do okna. Alfred stał jeszcze, myślał i zdobył się nareszcie na przemówienie.

— Z powodu pani — rzekł — towarzystwo całe rade, że coś do nas znalazło... Koso poczyną na mnie i na mamę spoglądać. Krążą niedorzeczne plotki... Jeszcze raz powtarzam pani, iż będąc naszej rodzinie winną tyle... obowiązana jesteś...

Lenora zrzuciła z siebie okrycie, jakby ją piekło, i podbiegła ku niemu.

— Com ja wam winna? — zawołała — co? żeście mnie jak psa dla zabawki wzięli, wychowali, wypieścili, aby go potem nogą wypchnąć, gdy został niepotrzebnym?

Czym was prosiła o to, abyście mi dali wychowanie, nałogi, obyczaje, które dla mego stanu są ciężarem; byście lalkę zrobioną do salonu w balowej jej sukience, z rękami odwykłymi od pracy, wyrzucili na chłód i wicher ulicy! Tak! tak! winnam wam nienawiść, winnam pogardę... nic więcej. Nie uszanowaliście we mnie i toty ludzkiej, zrobiliście z niej igraszkę!

Ubożą, żebraczką, spohiewieraną byłabym szczęśliwszą, miałabym choć przybraną rodzinę żebraków

jak ja, jak ja sponiewieranych ludzi, dziś nie mam— żadnej.

Alfred, słuchając tego wybuchu, cofnął się o krok.

— A! to tak! — rzekł — jeśli tak, nie mam tu co robić!

— Dawnoś to pan powinien był zrozumieć. Dla mej matki, dobrodziejki, opiekunki mam cześć, mam miłość najwyższą, ona pojmowała inaczej swe macierzyństwo dla mnie. Dla was ja byłem istotą obcą, narzędziem, podrzutkiem... którego pozbyć się jak najprędzej pragnęliście. Jeszcze zwłoki mojej matki nie ostygły, a już chcieliście wygnać mnie z domu, chcieliście zabronić mi iść za jej pogrzebem! Wypędziliście... jak...

— To wszystko egzageracya—rzekł pan Alfred, łykając wyrazy — naturalnie było niepodobieństwem dozwolić, abyś pani szła z familią za jej trumną, ale nikt jej nie bronił asystować pogrzebowi.

Lenora, z gwałtownego wzruszenia nie mogąc już odpowiedzieć, zaszła się od płaczu, i pochylona na kanapę jęczała, wołając: — A! któż mnie od tego człowieka uwolni.

— Ale ja idę! idę sam! — zawołał coraz gniewniej pan Alfred — myślałem, że przecież rozsądnie będziemy mogli pomówić, bez tych tragedyj! Nie jesteśmy wcale od tego, ażeby coś dla pani nie uczynić. Mama z chęcią jej ofiaruje dożywotnią pensję.

— Na miłość, na rany Chrystusa, uwolnij mnie pan od siebie i od tych ofiar upodlających! Wolę umrzeć z głodu, niż szeląg przyjąć od was... a dzięki Bogu, mam młodość, mam siły — mogę pracować i nie potrzebuję nic... nic... nic!

Była chwila milczenia. Pan Alfred wybierał się jakby do wyjścia, a jednak wyjść nie umiał... coś go przykuwało do tego progu... niepokój jakiś nie dozwalał mu porzucić tak tej, której podał był niegdyś dłoń u łóża konającej, jakby na pielgrzymkę życia...

— Niechże się pani raczy uspokoić — rzekł — bardzo przepraszam i odchodzę... a gdybym kiedykolwiek mógł być w czem użytecznym, niech pani wierzy...

Nie odebrawszy ani słowa odpowiedzi, zatrzymał się jeszcze, stał chwilę, a na ostatek, trzaskając drzwiami, wyszedł. Za progiem stanął, chcąc zapewne uspokoić się przed wyjściem na ulicę... obciągnął suknie na sobie, poprawił włosy... włożył kapelusz, spojrzął na zegarek, ruszył ramionami i powoli schodzić zaczął ze schodów.

Pomiędzy nim a Lenorą, między jego chłodnym spokojem a jej rozpaczą do szafu dochodzącą, sprzeczność była rażąca, jednakże na twarzy tego człowieka praktycznego, rozsądnego, biorącego rzeczy zimno i przyzwoicie, malowało się coś, co zdradzało,

że wrażenie sceny patetycznej, jaką przeżył, dopiero teraz czuć mu się dawało.

Stał na trotuarze, podnosząc laskę do góry i rzekł skrzywiony:

— Mama jest zbyt surową, jabym jej zresztą dał procent od tych przeklętych dwóchkroć i byłby spokój, ale z mamą! Ma może słuszość... cóż z tego... ludzie będą paplać... to niemiłe! Lepiejby się wykupić!

Następnych dni nie było najmniejszego slychu o panu Alfredzie. Spełniwszy, co mu jego sumienie przyzwoitego człowieka nakazywało, ustąpił. Widziano tylko zajeżdżającą karetę przed pałac Zamoyskich i od niej wysłanego na drugie piętro lokaja, który za pośrednictwem Kasi bilet wizytowy jakiejś pani dosyć otyłej i poważnej przedstawił Lenorze... a ta przeprosić kazała, iż będą chora, przyjmując jej nie może. Po otrzymaniu tej odpowiedzi osoba siedząca w karecie spuściła okno tak mocno i gwałtownie, iż się potłukło... twarz zaczerwieniona dała się widzieć przez otwór razem z najeżonym piórami kapełuszem... karetą odjechała...

Matka pana Alfreda, której księżycowe oblicze mieliśmy szczęście oglądać na chwilę (ona to bowiem była), nieszczęśliwa ofiara, zmuszona poniżyć się do osobistego przybycia do tego podrzutka, rozkazała jechać do doktora. Gdy mu tę znakomitą oznajmiła klientkę, powszechnie używającą tytułu hrabiny,

a w towarzystwie wyższem zwaną niegrzecznie bardzo — Pyzą — doktor wyszedł natychmiast do przedpokoju, był bowiem po staremu dla wszystkich bez różnicy kobiet grzeczny.

Hrabina zdyszana, czerwona, zmęczona schodami, wtoczyła się z oblokami na czołe, wachlarzem się chłodząc, i siadłszy na kanapie, na honorowem miejscu, zwrócona do doktora, długo do słowa przyjść nie mogła. Jakby na dobitkę, dla zwiększenia złego humoru pani, ulubiona papuga doktora, siedząca w klatce na otwartym balkonie, poczęła wrzeszczeć przeraźliwie:

— *Bon jour* — na wszystkie możliwe tony, aż ją chustką przykryć musiano...

Hrabina czuła, jaki honor wyrządziła doktorowi, przybywając sama do niego, a nie wzywając do siebie; była więc pewną, iż konsyliarz zrozumie, jaką jej winien jest wdzięczność.

— Mój konsyliarzu — odczuwała się — byłeś zawsze przyjacielem dobrym naszej całej rodziny... przyjechałam do ciebie, wiedząc, że na cię rachować mogę... Zróbże mi też tę grzeczność i zburcz tę wariatkę Lenorę. Co ta dziewczyna sobie myśli! Wielkie jakieś tony heroiny nieszczęśliwej sobie daje! Co to jest! Wy wiecie, *la populace*, ulica, demagogi, wszystko to, coby nas rade w łyżce wody utopilo... z każdego pozornego skandalu korzysta... Rozbębnią,

sfałszują to... Bóg wie co zrobią. Alfred się znalazł niezręcznie...

Ale wytłumacz sobie, że ja sama tylko co przed chwilą chciałam u niej być, *pour lui faire entendre raison*... a ta ~~lupa~~ dziewczynisko, pod pozorem choroby, mnie nie przyjęła... Ja wiem, że nie choroba, że kaprysy!

— Przepraszam panią hrabinę, ona istotnie chora jest; i dziś nawet w łóżku — dodał doktor.

— A to wszystko z dumy obrażonej! — zawołała hrabina... Otoż skutki dobrodziejstw naszych! Wziąć sierotę na wychowanie, dać edukację, a potem cierpieć od niewdzięcznej i widzieć się szkalanymi!

Westchnęła pani hrabina, wachlując się. Doktor milczał.

— Kochany konsyliarzu — rzekła przybyła — weźże to na siebie... proszę cię... daj jej dobrą burę i przyprowadź do rozumu.

— Ale o cóż to idzie? — łagodnie ozwał się lekarz — ja przyznaję się, że niedobrze jakoś rozumiem... co pani hrabina poleca?

— Powiedz jej, niech nie gra tej roli pokrzywdzonej sieroty! Do czego to podobne, proszę cię! Wojewodzina, nieboszczka moja siostra, wy wiecie, jakie to było dobre, serdeczne aż do zbytku, a słabe — wydała na nią pewnie parę kroć sto tysięcy... Wychowanie tej dziewczyny to była jej mania... Pozwo-

liliśmy jej zabrać z domu, co tylko miała od nieboszczki, nie wchodząc w to, że może pozabierała precyzoza... Nabrała tego mnóstwo... i jeszcze niekontenta! i jeszcze się krzywi!

— Pani hrabina daruje — odezwał się konsyliarz — a ten legat, który jej uczyniła nieboszczka?

— Ale to była fikcya! Wojewodzina w ostatnich chwilach była zamyśloną, sama nie wiedziała, co robiła! Proszę cię... podrzutkowi jakiemuś dwakroć sto tysięcy! Żeby ci dała pojęcie, jak już nieboszczka dziwaczyła, to ci powiem, że chciała mego Alfredka żenić z nią! A jednak, aby jej dać spokojnie umrzeć biedaczce i na tośmy niby zezwolili! Już cię nie idzie zatem, aby Alfred się z wychrzcianką jak ~~to~~, czy cyganką żenił, i ~~aby~~ ja jej dała te dwakroć. Ona sama dobrze rozumiała, że do tego nie ma najmniejszego prawa, kiedy się zaraz zrzekła.

— Przepraszam — łagodnie znów szepnął doktor — znając mało ten skład okoliczności, ja nie dobrze to zapewne rozumiem... Więc ten sam testament, którym wojewodzina pani dobrodziejcie zapisała majątek, jest ważny, a ten legat...

— Ale kochany konsyliarzu, jak prawdziwie nie chcesz wnikać w istotę rzeczy... Zapisać siostrze majątek miała prawo i obowiązek, ale czynić podrzutkowi legatu... takiego nigdy w świecie...

— Ah! — rzekł doktor niby zupełnie przekonany...

— I prosiłabym cię jeszcze, kochany konsyliarzu — dorzuciła — namów ją, niech sobie ztąd jedzie... Tu ją wszyscy znali przy wojewodzinie na właściwym stanowisku. Chodziła w tyftykowych szalach! Po cóż teraz narażać siebie na nieprzyjemność, mnie i nas na złe języki... Mówią, że na złość chodzi z dzbankiem sama po wodę... komedye!

— O tem już z nią mówiłem — rzekł doktor — ale gdzież się podzieje?

— Gdzie chce! ktoś to tam weźmie za guwer-nantkę! Albo niech jedzie do Petersburga, to się jeszcze jaki bogacz ożenić gotów... Co ona tu będzie robiła...

Hrabina, przekonana najmocniej, iż doktora zupełnie przeciągnęła na swą stronę, odpocząwszy, miała rozpocząć rozmowę o czem innem, aby nieprzyjemne wrażenie usunąć, gdy konsyliarz rzekł powoli:

— W tej chwili panna Lenora jest chorą wistocie... pojmuję pani, że muszę pacjentkę oszczędzać. Jestem tego przekonania także, iż oddalić się powinna. Zresztą ona ze światem nie ma żadnych stosunków, więc dla państwa też nieprzyjemności żadnej ściągnąć nie może ani jej postępowanie, ani obecność. Nie widuje nikogo i mogę ręczyć, że z jej ust słowo się jedno uzalenia nie wyrwało.

— Alfredek mi wszystkiego pewno nie powiedział — przerwała hrabina — ale z jego humoru wniosłam, że musiał z nią mieć scenę. Wystaw sobie, że

głupia nabiła sobie głowę, iż on istotnie w niej zakochany i może się ożeni!

Zaczęła się śmiać, a twarz i fale wezbrane całej tej kolosalnej mięsnej struktury trzęsły się od wzruszenia.

— Altreddek w tem, powiem ci — mówiła dalej hrabina — dał dowód takiego taktu, jak rzadko... Oczewiście młody, ona ładna, czasem tam pożartował... ale wiem, że się nigdy nie posunął za daleko? Inny na jego miejscu, mój Boże! nie robiłby pewnie z pannienką rozromansowaną ceremonii. Niech podziękuje, że trafiła na przyzwoitego chłopca. Musieliśmy cierpieć te obrzydliwe załecanki dla zdzieciniałej wojewodziny, która umierając, ich ręce łączyła... ale... proszę cię! Alfred ani myślał! ani myślał!

Tego jestem pewny — przerwał doktor — że panna Lenora także nie ludzila się.

— No! no!... — odparła hrabina. — Alfred ładny chłopak... a to głowa przewrócona, powiadam ci... ale z takim taktem młodego nie widziałam, jak on...

— Pani hrabina zajężdżała do pałacu Zamoy-skich? — spytał gospodarz.

— Ale zajężdżałam, słowo ci daję; dziwisz się! i masz czemu... Ja, gdy rzecz wymaga oliary z mej strony, umiem ją uczynić. Chciałam głupią dziewczynę zbuzować i sprowadzić na pocucie. właściwego stanowiska... ale — nie raczyła mnie przyjąć!

— Jest chora! istotnie chora...

— Ze złości! głupia! — zawołała hrabina. — Powiedz jej, konsyliarzu, że radzę, niech wyjeżdża... niech mi się na oczy nie nawija... niech mnie nie zmusza do kroków ostatecznych... bo będę w konieczności, mimo dobrego serca, obejść się surowo i pojedę do moich znajomych na Zamek uprosić, aby jej kazano wyjechać.

Usłyszawszy to, doktor pobladł, ale że był człowiekiem niezmiernie wytrawnym i cierpliwym, nie pokazał po sobie oburzenia, które uczuł.

— Dobrze, dobrze—odezwał się — proszę wszystko uważać za skończone... Wcale te gwałtowne środki nie będą potrzebne... Ona się nie ukazuje i nie pokaże nigdzie, a nie widuje nikogo. — Cóż pani znów szkodzi...

— Ale, konsyliarzu, to mi agasuje nerwy — zawołała hrabina — ja jej tu mieć nie chcę. Dam jej coś na wyjazd.

— Ona nie potrzebuje...

— To tem lepiej; powiedz jej, aby sobie jechała i niech tej śmiesznej historii, którą odziedziczyliśmy z łaski biednej wojewodziny, raz koniec będzie.

Z dumnym uśmiechem podała rękę doktorowi, w przekonaniu, iż ją pocałuje; zdziwiła się, poczuwszy lekkie tylko uściśnienie, i majestatycznie powstała, aby odjechać. Głębokie westchnienie dowodziło, jak czuła spełnioną ofiarę.

— Adieu, kochany konsyliarzu — dodała — widzę ślicznie mieszkasz, co za apartament!

W tem podziwieniu i pochwale było coś jakby sarkazm ukryty, ale konsyliarz, choć się go domyślał, nie dał poznać po sobie wcale, skłonił się milcząco. Hrabina spojrzała jeszcze na salon i meble.

— Proszę cię, co to jest za zmiana — szepnęła — dawniej najarystokratyczniejsze domy ledwie tak były pysznie umeblowane, dziś wszędzie się ten zbytek spotyka.

— To prawda — odparł konsyliarz, odprowadzając ją do drzwi — czasy się zmieniły wielce, obyczaje... wszystko... i my biedacy jesteśmy zmuszeni do nich się stosować. Cóż pani hrabina chce... człowiek jest niewolnikiem zwyczajów...

— A tak! a tak! i wszyscy się rujnują! I proszę cię, konsyliarzu, zacierają się wszelkie różnice klas społecznych. A! inaczej dawniej bywało... dożyliśmy tego...

Nie dokończyła, bo papuga, którą służący odkrył, widząc wychodzącą panią, poczęła wołać za nią:

— *Adieu! adieu...*

Doktor wyprowadził ją aż na schody i tak zakończyła się ta wizyta, która we wspomnieniach hrabiny liczyć się miała do nadzwyczajnych poświęceń z jej strony dla dobra rodziny.

To też powróciwszy do domu, długo tej przejażdżki wydychać nie mogła, mówiła o niej cały

wieczór. Alfredek musiał ze czcią dla jej poświęcenia trzy razy w rękę ją pocałować, a w przekonaniu pani hrabiny ta wyprawa na nieprzyjaciela miała być tak skuteczną, iż się zupełnie troszczyć nawet przestała o „Czarną perelkę“, którą przezwiała ironicznie w sposób tak trywialny, iż go nam przyzwoitość powtórzyć nie dozwala.

Z tego przezwiska śmiała się, jak z rzeczy bardzo dowcipnej, a Alfred, który mamy słuchał, ile razy je powtórzyła, zanosił się także od śmiechu.

Zamknięta w swej izdebce, biedna Lenora, którą dotąd znamy tylko niemal z tego, co nieprzyjaźni jej o niej sądzili, spokojnie, z wypłakanemi oczyma całe dnie siadywała nad robotą. Jesień była późna, dnie krótkie, mrok przychodził w ulicy prędko, a nim się nastawilo lampkę i dla niej właściwą dobrało pracę, pozostawała chwila nie wypoczynku, ale tęsknoty i wspomnień. Robota wypadła z rąk, a dawniejszego żywota dźwięki przelatwały, bijąc o serce osamotnione i ściśnięte.

W jednej z takich to godzin przejścia i dumania Kasia, idąc lampę zapalać, czego zwykle dopełniała, aby powalania rąk około knota i oleju swej panience oszczędzić — dostrzegła w kurytarzu nieopodal odedrzwi stojącego młodego człowieka, który w pierwszej chwili jakoś się jej nie podobał. Zdawał się na coś czekać, coś chcieć szpiegować, chcieć o coś pytać.

Dzień był już prawie zimowo chłodny — w sieniach przeciąg przykry, na dworze nie lepiej, a oczekujący młody chłopak mimo to nader był letnio ubrany i skromnie. Surdut miał szczelnie zapięty, pod którym widać było postać kształtną, ale wychudłą z wklęsłemi nieco piersiami. Twarz także blado była żółta, posępna, zmizerowana, a oczy niebieskie jakby we łzach pływały. Zdawał się strwożony i niepewien, co począć. Dziewczyna zmierzyła go oczyma, a jako instynktowa znawczyni ludzi — z obawy i nieufności prędko przeszła do sympatyczniejszego usposobienia. Młody chłopak niby się przechadzał po kurytarzu, ale poznać było łatwo, że ta przechadzka przymusowa nie była bez celu. Kasia, popatrzywszy nań, byłaby chętnie się z nim rozmówiła, ale zacząć jej nie śmiał. Dopiero gdy wyszła z lampką, przystąpił do niej grzecznie.

— Przepraszam panienkę — czy... czy nie mógłbym się dowiedzieć o mieszkanie panny... Zary... panny Lenory Zary?

Dziewczyna wstrzymała się, potrząsając głową.

— Ale ona — rzekła cicho — nie przyjmuje nikogo!

— Czy chora?

— Była niezdrowa, to prawda, przychodził lekarz... teraz ma się lepiej... a jednakowo przyjmować nikogo nie lubi...

— Zapewne musi mieć do tego powody, ja też nie chcę się naprzykrzać, ale... gdyby panna była

tylko łaskawa oznajmić jej, że tu ktoś jest, co się przyszedł... dowiedzieć o zdrowie.

— A jakże się pan nazywa?

— Niech panna powie tylko, że Zbigniew.

— Jak? jak?

Chłopak powtórzył imię... Dziewczyna postawiła lampę, weszła do pokoju, ale wprędce bardzo otworzyły się drzwi, sama Lenora pokazała się w progu i obie wyciągając ręce, krzyknęła:

— Pan tutaj, panie Zbigniewie!... Chodźże! chodź, pustelnica nie przyjmuje nikogo, ale was!...

Nieśmiało, strwożony młody chłopak próg przestąpił; pomieszany był tak, że słowo trudno mu było wymówić.

— A! pani — zawołał — jakże ja jestem szczęśliwy... że znalazłem cię nareszcie... ale jak zarazem boleśnie mi tak znaleźć panią...

— O! — uśmiechnęła się Lenora, wpatrując się o mroku w biednego gościa postawę i rysy, których dobrze rozeznąć było trudno — to, co mnie spotkało, spodziewanem było zawsze... Jam widmo tej przyszłości miała przed oczyma... Nic w tem tak straszego...

Pojmuję wszakże — dodała — że na was, coście mnie ostatnim razem widzieli w innem, wcale odmiennem położeniu... czyni to wrażenie...

Kasia może z ciekawości pospieszyła z lampką. Przy jej świetle oczy Zbigniewa zwróciły się na Le-

norę, a ona też wpatrywać się poczęła w niego z pełnym współczucia wyrazem... Dostrzegła pewnie wynędznienia i choroby ślady na milej, łagodnej jego twarzy... opasanych brunatną pręgą oczach, pierś zakłęślej, ku której machinalnie chodziła ręka niepokojna, jakby ją uścisnąć chciała, i zbladłych wargach, prawie od barwy twarzy nie dających się odróżnić.

On oglądał się po izdebce ubogiej, po sprzęcie i rozrzuconej robocie, przez które łatwo życie odgadnąć było można; potem oczy pełne politowania zwrócił na nią i mimowoli ręce mu spadły załamane.

— Pani tu mieszkasz! sama jedna!

— Z Bogiem — dodała spokojnie Lenora — z pracą, ze wspomnieniami drogiej mojej matki, tych mi nikt odebrać nie może. Wierz mi, panie Zbigniewie, życiu nie wyrzucam nic, ani Opatrzności, dała mi sierocie najlepszą matkę, dała mi uśmiech szczęścia w młodości, kilkanaście lat swobody, aby umysł i serce dojrzało; miałabym prawo więcej wymagać i na to, co dziś jest, się skarżyć?

Zapłaczę czasem... mimowoli, ale potem, uspokojona w duchu, Bogu dziękuję i godzę się z tem, co jest!

— Ale cóż jest? co jest? — zapytał gorąco Zbigniew — ja nic nie wiem... Kilka dni temu, jak przybyłem do Warszawy, wypadkiem najdziwaczniejszym dowiedziałem się o śmierci pani wojewodziny, potem

dopiero coś glucho, że pani opuściłaś ten dom, który był jakby twoim. Z trwogą biegłem tu...

— Siądź, panie Zbigniewie — rzekła, siadając sama, wzruszona Lenora i usiłując układaniem porozrzucanej roboty nadać sobie mniej zdradzającą uczucie postawę — siądź... nie użalaj się zbytnio... powiem ci, co się stało. Nikomu nie było tajem, ani tobie, że wojewodzina z łaski mnie przytuliła, że w tym domu byłam jej dzieckiem tylko przez miłość jej dla mnie. Stało się więc, że gdy to serce anielskie bić przestało... obca... zostałam wyrzuconą z domu w chwili, gdy chłodne jej członki na cmentarz wieziono. Mogłam się od ludzi, którym odebrałam mimowoli serce jej, spodziewać się, by mnie kochali? Kazano mi pójść w świat i poszłam...

— Jako? tak?... — przerwał Zbigniew — bez zapewnienia jej losu?

— Ja sama wyrzekłam się dobrodziejstwa, które mi zmarła matka przybrana wyświadczyć chciała z za mogiły. Pojmujesz pan, że mi to moja duma sieroty nakazywała.

— I jakże pani, co byłaś nawykłą do zbytku, do wygod, do tego, by skinienia twego słuchano, do pochlebstw nawet i uległości rodziny... możesz...

Lenora uśmiechnęła się.

— Właśnie mi tego darować nie mogli, że musieli być dla mnie grzeczni i że może za życia nieboszczki jak równą sobie przyjmowali. O! panie Zbi-

gniewie — dodała — czyż sądzisz, że ja wśród tego życia zbytku, wygod, szczęścia, nie miałam ciągle na myśli tego miecza damoklesowego, zwieszonego nad głową moją? Czułam ja, że mi to odpokutować los każe, gotowałam się do ubóstwa i pracy w duchu. Teraz przeszły dnie goryczy pierwsze — rana się zasklepia powoli... Widzisz, żyję i uśmiecham się... ale cóż z tobą? co się z tobą działo i dzieje?

— Ze mną! — z podziwieniem podchwycił Zbigniew — ze mną! Ale pocóż i mówić o mnie! Jam się urodził na walkę i będę...

— A ja? — spytała Lenora.

— A! pani stworzoną byłaś do szczęścia i godną go używać — gorąco zawołał Zbigniew — pani w niem nie zapomniałaś o biednych... miałaś współczucie i litość, pani...

— A! a! dajże pan pokój pochlebstwom! — przerwała smutnie — ja się pytam, co się z wami dzieje?

— Ze mną? — znów z podziwieniem powtórzył przybyły — los mój się zmienił. Miałem miejsce... straciłem je... szukam nowego...

— Dlaczegożeś je pan utracił?

Zbigniew zarumienił się.

— Ale mów pan otwarcie, jak przed dobrym, poufałym towarzyszem.

— Ja także spodziewałem się, że mnie to spotkanie — cicho rzekł przybyły. — Widzi pani, czasy są takie... moje położenie... Jestem dzieckiem ubogich ro-

dziców, podejrzewają naturalnie, że biedny muszę jako młody marzyć i... myśleć inaczej niż oni, przyuczani od dzieciństwa brać rzeczy na zimno i stawiać najwyżej interes własny... Jednem słowem, bano się, bym nie zamącił czemkolwiek ich spokojności, i... pozbyto się mnie.

— Musiałeś się pan dać poznać ze swych opinij! Może dzieci...

— Może być, że dzieci powtórzyły jakie niefortunne słówko moje z historyi, której ich uczyłem... a ono się nie podobalo... To prawda — mówił Zbigniew — że zakazano mi szczepić patryotyczne wyobrażenia, a ja nie umiałem dość panować nad sobą i brać słów na wagę... Musiano coś przeciwko mnie pochwycić... i...

— Zostałeś pan odprawiony...

— Tak, pani — rzekł skromnie Zbigniew — ale to najmniejsza rzecz.

— Cóż myślisz począć?

— Ja? — zakłopotany, spuszczać oczy, odparł Zbigniew — jeszcze nie wiem. Dostałem się do Warszawy, szukam zatrudnienia, nie mam żadnego...

— Ale pan przynajmniej — przyglądając się skromnemu nader strojowi, zawołała Lenora — coś sobie zaoszczędziłeś.

— Tak! tak! pani... trochę... Mam coś... Utrzymuję matkę... na jakiś czas starczy nam... a potem się coś znajdzie... Ja chciałem — zagadując, dorzucił —

powiedzieć tylko pani, że jestem wolny, tobym może mógł w czem usłużyć, dopomódz, a tak byłbym szczęśliwy...

— Mój panie Zbigniewie — odezwała się, opierając twarz na dłoni, Lenora — masz słuszność, tylko dwie niedole mogą być sobie pomocne. Ja jednak dotąd sama starczę na moją. A pan?' gdzież matka?

— Matka jest w Warszawie...—cicho dodał Zbigniew — trochę mi chora...

Zamilkł. Lenora wpatrywała się w niego z zajęciem żywym.

— Tak — rzekła — dwie niedole mogą jak dwa złamane drzewa podpierać się wzajem, aby nie padły... ale na to potrzeba szczerości obustronnej. Pan mi nie wszystko mówisz o sobie...

— A cóżbym mógł więcej powiedzieć? Istotnie... to cała historia moja. Daleko bardziej zajmująca byłaby jej własna.

— Całą wam powiedziałam, i całą widzicie w tej izdebce.

— Jakto? i krewni... i ten pan Alfred... który?...— przerywanie mówił przybyły — pozwolili, żebyś pani?... pan Alfred?

Widocznie więcej miał na ustach, niżeli chciał powiedzieć.

— Pan Alfred — pospiesznie poczęła Leonora — czyż myślisz, że ja choć na jedną sekundę ludziłam się?

— Ale pani byłaś mu... zaręczoną!

Lenora rozśmiała się.

— Miałąłem zatruć dni ostatnie mej dobrodziejki, która tego pragnęła, wystawiając sobie szczęściem, co dla mnie byłoby najokropniejszym losem! Znałam pana Alfreda doskonale i nie zawiodłam się na wrażeniu, które na mnie uczynił od pierwszej chwili. Biedna moja wojewodzina cały świat wystawiała sobie tak dobrym, jak była sama, kochała Alfreda i zaślepiała się dla niego... miałąłem ją wywieść z błędu, czerniąc przed nią jej ulubionego siostrzeńca?... Za tyle ofiar z jej strony... mogłam i ja uczynić jedną z siebie.

— I pan Alfred, który mógł być najszczęśliwszym z ludzi na ziemi — wybuchnął młodzieniec, rumieniąc się sam, gdy usłyszał własne słowa — pan Alfred...

Twarz Lenory zapłonęła, oczy jej błysły, wejściem nakazała mu milczenie.

— Panie Zbigniewie! bez pochlebstw!

— A! to mi się wyrwało z duszy... daruj pani...

— Nie... nie... chciałeś pan mi osłodzić moje wdowieństwo przez litość — przerwała Lenora z przymuszonym śmiechem — a ja wam zaręczam, że nic a nic stratą pana Alfreda nie jestem zdesperowaną...

— O! temu wierzę! ale nie pojmuję, że on... on...

— On ma wiele rozsądku... mój panie — zawołała Lenora — jakże ów dziedzic milionów i włości mógł nawet pomyśleć o dziccięciu znalezionem... pod karczmą.

Pan wiesz historję moją — dodała — jam się jej nauczyła od starej Wawrowej, która opowiadała zawsze potem, że mnie z pod płotu pierwsza w brudnych, do lachmanów podobnych pieluszkach przyniosła do dworu.

Zamilkła biedna kobieta, próżno usiłując przybrać weselszą twarz.

— Wszyscy wiedzieli — dodała po chwili — że m była dzieckiem żebraczem, jakimś wypadkiem zostawionem pod ścianą w czasie jarmarku. Mógłże pan Alfred choćby z przybraną przez wojewodzinę sierotą niewiadomego pochodzenia... pomyśleć nawet się żenić?

Zbigniew milczał...

— A nużby się potem znaleźli krewni lub rodzice? O! wystawże sobie pan hrabinę w tym wypadku, gdyby synowa pokazała się cyganką, jak bardzo być może? boć ja mam rysy, płeć, naturę cygańską! nieprawdaż?

— Pani? — zapytał zmieszany Zbigniew — pani jesteś piękną, jak posąg grecki...

— A pan nudny, jak bakalarz — stukając ręką w stół, przerwała Lenora — któż ubogiej dziewczynie mówi takie pochlebstwa.

— I pani masz siłę śmiać się i żartować ze swego losu, gdy mnie na łyzy się zbiera? — szepnął Zbigniew.

— Ale czegoż płakać i do czego łyzy pomaga? — przerwała — na co się zdało tragicznie brać życie, gdy

można patrzeć na nie chłodno? Dosyć jest w niem pierwiastku tragicznego z natury wrzuconego, nie należy go rozwijać...

Zbigniew po chwili wstał, spostrzegł się, że i rozmowa i odwiedziny były za długie może... Nieśmiała jego postać wyrażała i chęć pozostania i obawę.

— Siadaj pan jeszcze — przemówiła Lenora — spowiadaj się, co teraz robisz? bo wiem, że bez pracy nie możesz żyć.

— Zajęcia nie mam żadnego... Siedzę część dnia przy słabej matce, a resztę biegam, szukając właśnie pracy, o którą trudno... Nie mam ani stosunków, ani przyjaciół... a do wyszarzanej sukni przylegają łatwo podejrzenia...

— Czy pozwolisz, ażebym doktora S... prosiła o wyszukanie panu miejsca...

— A! pani! myśl o sobie, pozwól mi służyć, a mnie zostaw na łaskę i nielaskę losu... Protekcji zużywać na moją korzyść się nie godzi...

— Dla siebie ja jej nie zużytkuję — przerwała Lenora — postanowiłam się obejść bez niej i o własnej sile podolać zadaniu... postanowiłam i muszę...

— Czy mi pani pozwolisz czasem się dowiedzieć? — nieśmiało spytał Zbigniew.

— Zawsze, kiedy zechcesz tylko — zawołała Lenora. — Drzwi moje są zamknięte dla ludzi nie mego świata — ale wy, wy jesteście mi przecie bezdomnym kolegą. Szczęśliwsi tylko jesteście, bo ma-

cie matkę... rodzinę, węzeł, co was żyjących łączy ze światem... a ja — nie mam nikogo.

— A! mój Boże — zrywając się z siedzenia, jakby pod nieprzewyciężonym wrażeniem słów jej widoku, który miał przed sobą, zawolał Zbigniew — cóż za ironia losu! Po takim szczęściu, jak wasze... istocie jak wy, któraby najszczęśliwsza i najświetniejsza rodzina chlubić się mogła... być rzuconą w tę samotność.. nagle... bez przejścia... a mój Boże! to mi się nie mieści w głowie, to mi rozsadza serce... Pomnisz pani, gdyś odjeżdżając raz ostatni, żegnał cię w tym ganku klematydami obwieszonym, obstawionym kwiatami, królująca w pałacu, otoczona ludźmi, co odgadywali twoje rozkazy... uśmiechniętą do pogodnego wieczoru wiosny... Któżby był naówczas odgadł, że cię znajdę dziś samą jedną... bez slugi, w izdebce ciasnej... A! nie! to chyba sen...

— Nie, to najpospolitsza w świecie rzeczywistość — odezwiała się Lenora — to życie w całej sile swych praw, które są nieubłagane.

— Z tego wszystkiego wiesz pan, czego mi żal? — dorzuciła cicho Lenora.

— Mogęż zgadnąć?

— Cyganka... lubiłam muzykę... namiętnie — teraz cisza grobowa, nie słyszę jej, nie gram... w duszy mi tylko śpiewa... Czasem tęsknota porwie taką za pieśnią, że się jak dziecko rozplaczę... porwę

moje nuty, rozłożę na kolanach i chodzę po nich oczyma... dałabym chleb mój obiadowy...

— Jakto chleb! — krzyknął Zbigniew — chle! Lenora się zarumieniła.

— A! cóż to mnie pan łapiesz za słowa!... tigura retoryczna!

— A dlaczegoż pani nie zabrałaś swego fortepianu?

— Bo niestety! powiedziano mi, że nie był mój! Erard u mnie!

— Ależ pani miała drugi w swoim pokoju...

— Ten się komuś podobał... nie mówmy o tem— przerwała głosem zmienionym... Daremne żale. Mieli słuszność, cóżbym ja robiła z fortepianem? próżny koszt! gdzie go postawić? Kłopot i ciężar! odrywałby mnie kusiciel od pracy... a tak... a tak... siedzę, szyję i muszę mieć rozum...

— Aleby można nająć tanio... — rzekł nieśmiało Zbigniew — ja mam u jednego z przyjaciół...

— Kłamiesz pan — przerwała Lenora żywo — rumienisz się i zmyślasz... Najawwszy, gdzie go postawię... a postawiwszy, jakże będę grała, chyba że by być od sąsiadów przeklinaną...

— Ale toby było szczęściem dla nich słyszeć pania

— Już nie mówmy o tem... nie mówmy o tem— przerwała gorączkowo Lenora — dość! Rzeczywiście trzeba śmiało w oczy zaglądać, a nigdy jej nie przebierać za coś innego, czem nie jest.

Zbigniew wstał milczący... ona mu podała rękę.

— Mężtwo, panie Zbigniewie — rzekła — kiedyś przyjdź do mnie, ażebyś mnie do matki zaprowadził. W niedzielę pójdziemy razem... nieprawdaż?

— Pani byś raczyła?

— Ja potrzebuję kogoś... chcę mieć, przemówić do tych, co mnie rozumieją... Poznaj nas, panie Zbigniewie...

Młodzieniec stał czegoś zmieszany i szczęśliwy razem, widać było, że z serca synowskiego był jej wdzięczny, a coś go wstrzymywało od przyjęcia tej ofiary. Żywo schylił się do pocałowania jej ręki, na której lzę może zostawił, i nie odpowiedziawszy nic, wybiegł z pokoju.

I ona też nic już nie rzekła... przeprowadziła go oczyma... spuściła głowę...

— Któż wie? — szepnęła do siebie — może Bóg zesłał mi go na obrońcę? może w nim będę miłą brata? Dwie niedole! dwie niedole! powtórzyła i wnet w marzenie rozsnuły się myśli... a oczy zaświeciły łzami... Żywo jednak otarła je, chwyciła robotę, przysunęła lampę, zmusiła się do pracy i znów machinalnie igła poczęła biegać po płótnie.

Doktór siedział po obiedzie w solelu z książką i cygarem, rzadkiej chwili spoczynku używając, na pół roztargniony jakimiś myślami, dla których często rozpoczęte rzucał czytanie, gdy służacy oznajmiał mu, że młody jakiś jegomość (sługa w ten sposób oznaczać był zwykł osoby, których stanu nie mógł odgadnąć) bardzo się dopraszał chwilowej rozmowy.

Domyślał się jakiegoś biednego pacyenta... Wejście Zbigniewa i spojrzenie nań nie wywiodło go z tego błędu; twarz blada, oko zgasle potwierdziły raczej przypuszczenie. Ubiór ubogi zdradzał dolę nie bardzo szczęśliwą. Z tem większem współczuciem doktor wstał na przyjęcie biedaka i wskazał mu krzesło. Była chwila milczenia, wśród której lekarz, nawykły do czytania w ludzkich twarzach, badał nieznanomego troskliwie.

— Co panu jest? — spytał wreszcie, widząc zakłopotanie jego.

— Mnie! ah! szanowny panie — odezwał się gość — przebaczysz mi, ale ja nie przyszedłem radzić się dla siebie. Ja... muszę być zdrów. Mam do pana konsyliarza prośbę.

— Słucham, mów pan otwarcie...

— Kilka lat temu — odezwał się Zbigniew — miałem szczęście poznać w domu pani wojewodziny, u której niegdyś ojciec mój był w obowiązkach, pannę Lenorę Zara.

— A! — zawołał żywo doktor — pan ją znasz?

— I wiele jej i nieboszczce wdzięczen jestem. To wyznanie wytłumaczy mnie, dlaczego ośmielałem się trudzić go sprawą, która właściwie do mnie nie należy. Znam pana konsyliarza z jego szlachetnego serca; wiem, że byłeś przyjacielem wojewodziny, że litujesz się nad losem biednej sieroty... Czy wolno mi spytać pana dobrodzieja: los jej jest mu dobrze znany, czy nie?

— Zdaje mi się, że położenie jej rozumiem i że się nie łudzę — rzekł doktor — radbym jej dopomódz i wyrwać ją z fałszywego położenia, zgubnego dla zdrowia i dla duszy... bo sprowadzającego zwątpienie; ale cóż na to poradzić, jeśli się ona przy swojej idei ręcznej pracy upiera?

— Ja, obcy, choć życzliwy, młody, nie mając prawa przemówić dobitniej, a w potrzebie walczyć z nią i zwyciężyć, zapewne niebym nie potrafił, ale pan swą powagą...

— Ale ona słuchać nie chce!

— Pana usłucha...

— Cóż myślisz, że radziłoby jej należało? — zapytał lekarz.

— Mnie się zdaje, że dla każdego człowieka powołaniem powinno być to, czemu oddał serce... ona jest namiętnie muzykalna, zna doskonale i miluje muzykę: — dla czegożby z niej nie miała uczynić powołania?

Lekarz się uśmiechnął smętnie.

— Rada w zasadzie bardzo dobra — rzekł — ale pan jesteś młody i nie wiesz, co to życie artysty, co karyera nauczycielki i wirtuozki. Muzyka dziś jest tak rozpowszechnioną, a wydoskonalenie w niej tak pospolite, iż trudno na ten towar znaleźć kupca... a iluż to upokorzeniami okupić trzeba uznanie. Dla Lenory prawie niemożliwem jest, a przynajmniej bardzo przykrem być może, do salonwów, w których na stopie przyjaciółki była przyjmowaną, przyjść z teką nauczycielki. Dla niej zresztą to nic; ale ci, co ją znali dawniej, a nie znali tylko powierzchnownie, zechcą ją wziąć?

— A koncerta? — spytał Zbigniew.

— Koncerta? — uśmiechnął się doktor — koncertom będą szkodzić i przeszkadzać wirtuozi współzawodnicy, a i na najświetniejsze prosić potrzeba... Chybaby poszli dla ciekawości widzenia kobiety, co padła...

— I nie zabiła się w upadku — dodał żywo Zbigniew.

— Wszystko, co pan życzliwie napomykasz pannie Lenorze, ja myślałem, projektowałem, proponowałem jej... wszystko się okazało niepraktycznem...

— A więc to wyrok śmierci na tę istotę wyższą duchem, umysłem, wykształceniem, sercem, którą igła zabije powoli... którą sama tęsknota po utraconych artystycznych wrażeniach... powoli wyniszczy...

Przepraszam konsyliarza... wiele jestem winien pannie Lenorze z tych czasów, gdy matka moja nie miała przytulku, a ja kawalka chleba. Dziś ja i ona biedni jesteśmy, ale nas dwoje... my mniej cierpimy, chcielibyśmy spłacić dług święty... Ona od nas nie przyjmie nic... nic! Ja wiem, że największą prywatną dla niej jest pozbawienie fortepianu, lecz czy nie możnaby choć pobieżnie skłamać, aby go jej... narzucić... Jabym najał... a konsyliarz mógłbyś... być laskaw i coś... i jakoś... i tak to obrócić, aby to nie było posadzeniem nawet, że pochodzi odemnie.

Konsyliarz spojrział na biedaka, który wcale nie wyglądał na mogącego robić podarki, i podał mu rękę wzruszony.

— Proszę pana — dodał żywo Zbigniew — ci ludzie, co jej są wszystko winni, bo wojewodzina, gdyby nie ona, byłaby inaczej rozporządziła mająt-

kiem, ci ludzie jej własność, nędzny fortepian, który ona tak lubiła, odebrali sierocie! czy to się godzi?

Doktór chłodno i wielce seryo odparł:

— Potrzebny był im jako sprzęt w salonie, zajmujący jego kąt niezastawiony, a choć na nim nikt nie gra... miło się pochwalić, że to Erard... czy Pleyel...

— Nie chcę pana nudzić... ale mi idzie dla niej o fortepian... ja go znajdę, pan zmyśl, że dajesz od siebie...

— Przepraszam cię, kochany panie, ale ja ojcu umierającemu, jest temu lat trzydzieści, dałem słowo, że nigdy nawet dla dobrej pobudki nie skłamię; nie mogę złamać świętej przysięgi... ale... mogę dać sam fortepian...

Zbigniew się zastrasował.

— Proszę pana, to zupełnie co innego! mnieby tak było przyjemnie odsłużyć jej dobroć dla mej matki...

— Zrobisz to drugim razem.

— Zresztą - - rzekł żywo Zbigniew - - prawda i to, że cały mój projekt i pańska dobra wola rozbija się o nieprzewyciężoną trudność... Niema go gdzie postawić...

Doktór rzekł lakonicznie:

— Znajdzie się...

Młodzieniec chwycił jego ręce z uczuciem, ści-

snął i w ramię poczał całować. — A! panie, nie zawiodłem się, jesteś równie dobrym, jak rozumnym.

— O! o! pochlebca... pfe! — rozśmiał się stary — a widząc, że chce wyjść, zatrzymał go gwałtem.

— Gdzie matka wasza mieszka?

— Moja matka? albo...

— Wspomniałeś o matce, a bodaj i o tem, że nie bardzo zdrowa; chcę ją odwiedzić.

— Moją matkę? — powtórzył Zbigniew.

— Tak, tak, i powinszować jej pocziwego syna... Ale gdzież mieszkanie?

— Na Dziekance... ale w takim... tymczasowym, ubogim kątku...

— To nic nie szkodzi, jam więcej nawykł do kątków, niż do salonów.

Zbigniew, zmuszony, wybąknął numer.

— Za jednym zamachem — dodał konsyliarz — powiedz mi pan, czy sambyś mojej rady nie potrzebował? Nie bardzo mi się zdrów wydajesz...

Zbigniew się uśmiechnął.

— O! proszę konsyliarza, zdrowiutenki!

— A! no, to dobrze... — podał mu rękę, rozstali się.. Zbigniew pobiegł do matki... a doktor, pomyślawszy, wziął za kapelusz i poszedł pieczo do pani Laury...

Jesteśmy zmuszeni powiedzieć dwa słowa o pani Laurze, uprzedzając naprzód łatwowiernych czytelników...

ków, iż to imię jest tylko pseudonimem znanej bardzo w owych czasach w Warszawie osoby. Pani Laura była wdową od bardzo dawna; syna jedynaka ożeniwszy szczęśliwie i oddawszy mu majątek, sama z pensją od niego osiadła w stolicy, którą lubiła, o której mówiła zawsze, że gdzieindziej żyćby nie mogła. W lecie jeździła do wód regularnie, na zimę powracała. Zdaje się, że towarzystwo bez niej, równie jak ona bez niego, byłyby się nie obeszły. Pani Laura najczynniejsze w niem stanowiła kółko. Należała do Towarzystwa dobroczynności, do Ochronek, do kwest, do loteryj fantowych, do wszystkich zabaw i smutków, wiedziała o wszystkim, zajmowała się każdą rzeczą. Mała, ruchliwa, dosyć brzydka, nie bardzo młoda, pomimo to stroiła się wykwitnie, lubiła skandaliki i płoteczki, złośliwa była nadzwyczaj, a wistocie cała jej ruchliwość pochodziła z tego, że z życiem nie wiedzieć co było zrobić... a zająć je czemś stało się koniecznością. Jak się nadzwyczajna pobożność godziła z wielu innemi skłonnościami, które do siedmiu grzechów głównych się kwalifikują, o tem tylko wiedział dyrektor sumienia, człowiek wyrozumiały bardzo. Są kompensaty, które wiele grzeszków nawet głównych pozwalają puszczać płazem. Pani Laura w gruncie była dobra, ale tylko dla dobrych i biednych, dla złych zaś i dla nadętych nieublagana... Tym nie okazywała litości najmniejszej... i z zajadłością ich ścigała. Między innymi hrabina

Pyza, mama Alfreda, była jej *bête noire*. O ile kochała nieoszacowaną wojewodzinę, o tyle nienawidziła siostry. Postępowanie z Lenorą było jej dobrze znane, ale o losie sieroty dotąd próżno dowiedzieć się usiłowała: nikt jej nie umiał powiedzieć nic nad to, że, odarta ze wszystkiego, w świat gdzieś poszła.

Doktór wczoraj dopiero wpadł na trop tych usposobień i postanowił zrećznie z nich korzystać, ile możliwości sam się nie mieszając do niczego.

Obrachował tak dobrze godzinę, że zastał panią Laurę w domu, właśnie numerując fanty na jakąś loteryę dobroczynną. Cały stół był zarzucony niemi, a w części dywan i posadzka. Porwała się, depcząc haftowane poduszki i patarafka kupami leżące i pobięgła naprzeciw doktora, którego lubiła bardzo.

O mój Boże, cóż za cud! — zawołała z żywością, której wiek nie mógł poskromić — co za cud! wy u mnie! Czy nie jestem chora!

Chwyciła się za bok, za głowę, poczęła się śmiać i posadziła przez roztargnienie konsyliarza na bębnie dziecinnym, który spadł z wielkim hałasem na ziemię.

— A! przepraszam... siadaj! co słyhać!

— Chyba ja panią o to spytam... bo mnie dochodzą tylko wieści o febrach i reumatyzmach, a to nie ciekawe.

— Jakto nie ciekawe? — zaśmiała się pani — ależ w głębi wszystkich febr i reumatyzmów są za-

wsze... utajone grzeszki ludzkie... tylko je trzeba umieć z nich dobyć...

W tejże chwili, korzystając z bytności doktora, wpakowała mu dziesięć biletów na loteryę. Doktor zapłacił je, śmiejąc się, i schował do kieszeni.

— Słuchaj, doktorku kochany, jesteś nieoszacowany — zawołała, całując go w ramię — ale nie myśl, że mnie obalamucisz... Powiedz odrazu, z czem przyszedles... bo że nie dajmo. jak Boga kocham... ręczę... Już masz namotany jakiś dobry uczynek, do którego ja służyć będę za narzędzie. Przysięgam.

Doktor się rozśmiał, ale postanowił się nie wydać z tajemnicą.

— Widzisz pani — odrzekł — że tym razem byłabyś popełniła krzywoprzysięstwo, bom przyszedł tylko w niewinnym zamiarze rozpytania pani o... jedną biedną istotę, ku której pewnie czujesz, jak ja, sympatyę. Co się stało z tą sierotą, która była na wychowaniu u wojewodziny?

— Z Lenoiką? z moją najdroższą Zarką? — podchwyciła, rzucając się po kanapie i gestykulując rękami Lauia — z Lenoiką? Wystaw sobie, ta Pyza nadęta i godny jej synalek, nie puściwszy jej za trumną inaczej iść, jak ze sługami... wypędzili...

— Ale musieli jej choć wypłacić zapis wojewodziny.

— Tak! tak! dobryś! albo oni głupi! zapis był

nieważny... nie dostała nic, a że dziewczyna dumna, sama się go dobrowolnie zrzeka...

Doktor pokiwał głową, Laura popatrzyła nań.

— Słuchaj, stary — zawolała nagle — co ty mnie durzysz! co ty mnie, mnie, mnie... (uderzyła ręką w piersi) chcesz obalamucić! Ty już wiesz o niej i co dla niej chcesz wyrobić. Mów otwarcie, bo się klnę, że mnie nie oszukasz.

Konsyliarz minę zrobił dziwną, ale ruszywszy ramionami, rzekł cicho...

— Czy to prawda, że jej własny fortepian Erarda i pianino... pod jakimś pozorem skonfiskowali?

Laura rękami uderzyła rozgłośnie.

— A! to lotry! proszę ciebie! to lotry! toż ta dziewczyna bez fortepianu umrze...

— A przynajmniej śmiertelnie będzie tęskniła — szepnął konsyliarz.

— Ty wiesz, że tak jest?

— Zdaje mi się, mówią — dodał doktor.

— Ale mów do licha jasno, zawsze te tajemnice, a ja ich nie cierpię... czy tak jest?

— No, to tak jest... a pani rzecz na to zaradzić — rzekł wstając stary.

— A! czekajże, nie puszczę! czekaj... ani mi nie ruszaj z miejsca, póki się nie wygadamy o tem. Wiesz, gdzie się podziała Lenorka?

— Wiem, ale dalem słowo, że nie powiem.

— No, więc jest w Warszawie, o to mi szło —

zawołała Laura — a ja jutro bez ciebie o tem będę wiedziała.

— Fortepian choć jeden trzeba odzyskać — rzekł konsyliarz — to okrucieństwo i grabież...

Laura zamyśliła się, spojrzała na zegarek.

— Doktorze! ty mnie znasz — poczęła, zsuwając fanty — ja nie umiem czekać, nie cierpię odkładać... ja jeszcze dziś do Pyzy pojadę...

— Zmłuj się pani... ależ się namyśleć trzeba...

— Daj mi pokój! — machając rękami, jakby odpędzała, zakrzyknęła Laura — ja już wiem, co zrobić... ale sza! Winnam ci prawdziwą wdzięczność, bo zrobić przykrość i dogryźć Pyzie i jej synkowi, to *c'est un festin des Dieux!*

Pocałowała tłuste paluszki swoje i podniosła je do góry.

— Fortepian! co to fortepian, a choćby i oba... gdyby im można więcej co wydrzeć...

— Ale Lenora nic w świecie od nich nie przyjmie.

— To głupia! — szparko przerwała Laura — to jej się należało wszystko, jej! Była istotnie córką najlepszą dla staruszki, która, jakkolwiek pocziwa i anielskiej dobroci, pod koniec życia okrutnie się stała ciężką. Gdyby nie ona, straciliby majątek, gdyby nie ona, straciliby jej serce... I to wdzięczność! Ale w tej Pyzie oprócz dumy i głupstwa nic się nie mieści, a Fredek godnym jest jej synalkiem. Jedźże

sobie teraz, doktorze, ja mam mój plan, biorę szal, Stefusia ze mną pójdzie, oddam jej wizytę Mieszka właśnie w dawnych apartamentach wojewodziny... to mi się doskonale składa!

— Hej! Stefka! — zawołała.

Wbiegła panienka żwawa jak ona, ładna bruneteczka i pospieszyła ku niej. Snać była nawykła do lakonicznych wyrażen swjej opiekunki...

— Szal... kapelusz... ubierz się... dwadzieścia pięć biletów... idziemy zaraz... Chustka... turecka... włoż kapelusz z woalikiem...

Doktor już się wysunął.

— Jutro ci dam znać! zobaczysz! Czy oddadzą ci rabusie grabież? tego nie wiem... ale że im dopiekę...

Ręką zakręciła jakby student, mszczący się na głowie nieprzyjaciela...

— O! że dopiekę... to dopiekę...

Ścisnęła doktora za rękę.

— Ty jesteś poczciwy człowiek — rzekła prędko — kocham cię, poszłabym za ciebie i uszczęśliwiłabym cię, gdybys chciał!

Sklonił się konsyliarz, uśmiechając.

— Nie jestem gwałdzien.

— Filut! a żebyś miała mniej dwudziestu laty? Hej! żebyś mnie zobaczyła, jak wyglądałam! Oj! skusiłbyś się...

— Patrz! - poprowadziła go do portretu, wiszącego na ścianie, wyobrażającego piękną brunetkę, bardzo do Stefki podobną. — A co? — spytała.

— Obawiałbym się! — szepnął doktor.

Laura uderzyła go po ramieniu.

— Nicpotem jesteś! — pogroziła mu na nosie. — To twoje szczęście, że serce dobre, ale filut!...

Doktor nie był jeszcze zszedł ze schodów, gdy już pani Laura wdziała kapelusz, szal, rękawiczki, wymusztrowała Stefkę i schodziła co żywo, starając się fizyognomii nadać wyraz spokojny, co jej nigdy łatwo nie przychodziło.

W kwadrans potem pytała szwajcara, czy hrabina w domu, kazała się meldować i z porochną, uśmiechniętą twarzą, tryumfalnie weszła do złociste go salonu, w którego kącie głównym stał milczący ów Erard... Hrabina, Pyżą zwaną, siedziała w fotelu z powieścią Arsena Houssaye w ręku i lornetką na nosie. Tusza nie pozwoliła jej wstać rychło, a żwawa Laura podbiegła ku niej, aby tej fatygi oszczędzić.

— Niechże kochana hrabina nie rusza się. proszę bardzo! Ja tylko na chwileczkę przerywam miły jej spoczynek i lekturę. zawsze z memi interesami ubogich... Znając dobre jej, szlachetne serce.. przychodzę z biletami na loteryę. *Chère Comtesse!* pani Zamoyska wzięła pięćdziesiąt... to już i kochana pani choć...

— Ale wezmę, ile każesz — zawołała hrabina — proszę cię...

— Ogłosimy imiona dobroczynnych dam w Kuryerku i Gazecie...

— Proszę cię... to mi jedno... ale wezmę. Ile? Pięćdziesiąt mówisz?

— *Entre nous!* — szepnęła na ucho Laura — gdyby kto mógł wziąć więcej, byłabym rada... bo Zamoyska skąpa.

— No... to... no to... sześćdziesiąt! — wyjąknęła, rumieniając się, Pyza.

— *Vous êtes un ange!* — całując ją w ramię, prędko odparła Laura — Stefciu, dawajże bilety...

Gdy panna Stefania dobywała bilety, których nie miała więcej nad dwadzieścia pięć, Laura poczęła się rozglądać po salonie.

— Jak sobie hrabina to urządziła z gustem! jak wytwornie!

— Prawda, że nie brzydko?

— Ale cudnie!

— Gdybyś widziała inne pokoje!

Hrabina usiłowała powstać, oparła się na obu poręczach, zaczerwieniła i nareszcie dźwignęła. O, chodź, to ci pokażę.

— A! bardzo, bardzo jestem wdzięczną!

W najróżowszym humorze pani domu, uśmiechnięta, poprowadziła swych gości, ukazując im splendory swoich apartamentów, a nawet przytykające do

nich nieskończone jeszcze pokoje Alfreda, który tymczasowo stał w hotelu... czekając aż matka mu apartament kawalerski wedle swej myśli uzupełni. Z innych też względów hotel mu lepiej jakoś dogadzał.

W przyszłym soloniku Alfreda stał Pleyel panny Lenory.

— A cóż to to? wszak fortepianik tej sierotki Lenorki! nie chciała go widocznie zabrać?

Hrabina się zmieszała nieco.

— Biedna dziewczyna! — dodała żywo Laura — co też to o niej i z powodu niej wyplatają!

— Cóż? cóż, proszę cię!

— At! zachciałaś, moja hrabino. . potwarze! plotki... Ludziom tylko w to graj, żeby mieli co wziąć na języki. Okrutniem się za was ścierała... bo proszę cię, kochana hrabino... zapisy tam jakieś to naturalnie nieważne, ale wiem to doskonale, że to, co było jej wiarogłosnością, oddaliście jej święcie.

— Ale do ostatniego galganka...

— A że nie miała gdzie zabrać naraz dwóch fortepianów, nie wasza wina przecie. Dosyć, że zabrała swego Erarda... bo ten, co w salonie, oczywiście nowy. Ale są tacy tli ludzie, co przez zawiść dla was rozgadali, że wyście jej oba fortepiany skonfiskowali! Ja się przyświadczałam, że to nie może być...

Hrabina z róży przeszła do koloru starego buraka... usta jej poczęły trząść... stanęła...

— I jak to mówić! — zapytała gniewna.

— Ale u margrabiostwa pletli, komentowali, uważali się, a że wiadomo było wszystkim, iż wojewodzina jej na imieniny dała Erarda... a z pensyjki swej ona sobie sama kupiła Pleyela... więc gardłowali! Ja przysiadz chciałam, że to nie może być!

Hrabina powoli zaczynała do siebie przychodzić, westchnęła jak machina parowa przybiegająca do stacyi.

— A! już to, powiadam ci, moja Lauro — nie ma nieszczęścia, jak przybędę w dom puścić! Otóż to wdzięczność potem dla familii, co ją wychowała, co ją, z pozwoleniem, z gnoju podniosła...

— Nie, to nie ona pewnie mówiła, boby kłamać nie mogła... ale źli ludzie... ale plotkarze...

— Bo to, proszę cię, wszystko zazdrość tych dorobkowiczów, co to z niczego wyszło... i radeby familie stare widzieć w nędzy. Że nam Pan Bóg jakoś dopomógł, to nas prześladują, nękają, spotwarzają. Już im o fortepianach zachciało się, pleść!

— Ale jakże! z tych fortepianów zrobiono całą historję. Sierota była do tych pamiątek przywiązana, i one naturalnie dla niej w jej położeniu stanowiły wiele. I co za złośliwość, bo ja mówiłam zaraz, że to wprost niepodobieństwo!

Hrabina tylko głową i ramionami ruszała.

— Cóż to my nie jesteśmy w stanie sobie kupić, czy tam Edwarda, czy tam tego Lejela? — zawołała Pyza — to są, powiadam ci — łajdaki! Ja jej dałam pozabierać klejnoty! Wiadomo przecie, że wojewodzi-

na miała kanak brylantowy i nigdzie go nie podziła, tylko pewnie u niej w kuferku... Nol a poszła sobie nierewidowana! A pierścionków, a zegarków, a bransoletek... to tego kupy... powiadam ci... ale to są łajdaki... to zawiść! I ta marmuzelka! oj to także ziółko! — dodała hrabina.

— Ale gdzież się ona podziła? — spytała Laura.

— Albo ja tam wiem! pójdzie to z kąd przyszło... bo to z takiego rodu i krwi, że nic dobrego być nie mogło. Wszak powiadam ci, Alfredka bałamuciła, że gdyby inny, nie on, co ma sumienie i tych amatorów garderobnych nie cierpi, to byłaby pięknie wyszła...

Zasapana, zdyszana, zakaszła się hrabina i potrzebowała wrócić do fotelu. W salonie znów Laura spojrzała na Erarda.

— Ja bo pamiętam tego Erarda jej... wcale był inny... mniejszy...

Hrabina nie odpowiedziała nic, ale się trzęsła z oburzenia.

— Moja droga — dodała — bo ja wiem, że ty mi sprzyjasz... co więcej gadali u tych margrabiostwa?

— Ja nic nie słyszałam, oprócz fałszywej historyi fortepianów, i muszę oddać sprawiedliwość przyszłym, że się niemal wszyscy oburzyli. Nikt temu naturalnie wierzyć nie chciał; bo któżby taki, jak ty hrabino, przy waszych milionach i fortunie, chciał się tam żywić takimi przywłaszczeniami?

Hrabina czerwieniła się i nie mówiła już nic.

Laura parę jeszcze razy zapuściła żądło w ranę... i poczęła się żegnać z taką czułością, uszanowaniem i przymileniem, tak prosząc kochanej hrabiny, aby się nie ruszała z fotelu, iż Pyza, mimo gniewu, rozstała się z nią wielce czule.

W połowie schodów Laura rozśmiała się do swej towarzyszki.

— Jeżeli ją dziś apopleksya nie ubije, tego staro-
mu muchomora... to będzie cud... Uważałaś, jak
czerwieniła się, a białe plamy jej na twarz występo-
wały. Istny muchomor!...

W kwadrans po wyjściu Laury, napiwszy się
proszków burzących, wypocząwszy, hrabina posłała
po Alfreda, aby natychmiast przychodził.

Posłuszny syn, chociaż grał w lansknehta, po-
rzucił zajęcie mile, przyjaciół, niedopalone cygare-
ty i pobiegł. Wchodząc do salonu, spostrzegł po twarzy
matki, iż ją coś wzruszyło w niedobry sposób.

— Cóż to mamie? widzę proszki!

— A! powiadam ci! nie mogę jeszcze przyjść
do siebie... Była u mnie ta pocziwa Laura... bo to
kobieta, która mi dobrze życzy... przychodziła znów
z jakąś loteryą dobroczynną... wyciągnęła mi kilka-
dziesiąt rubli...

— Czyż to mamę tak zniecierplawiło?

— Ale, gdzież tam! Słuchajże! zaczęła mi opo-
wiadać rozmowę u magrabiostwa i plotki, które po-
mieście chodzą... Wystaw sobie, co zrobili za trage-

dyę z tych dwóch fortepianów! Miałem święte prawo je zabrać! Tymczasem krzyczą na grabież, na krzywdę sieroty... że jeden był jej na imieniny darowany, a drugi ona sobie sama kupiła. Pytam, z jakich pieniędzy? z tych, co wydarła u mojej siostry! Ale niech ich dyabli biorą, odesłać! odesłać, choćby na ulicy postawić oba... kupić innego Edwarda... a oddać...

— Mama pozwoli powiedzieć, że jabym nie zwał na gadanie. Hermann mi mówił, że za Erarda ciocia zapłaciła mu tysiąc dwieście rubli... a za Pleyela pięć tysięcy złotych... Jabym nie oddał.

— Ale nie chcę... nie chcę... niech ją i fortepiany kaduk porwie! — przerwała hrabina. — Żebyś słyszał, co gadają... Nie chcę... grabież... rabunek... sieroce mienie...

— A no, jeśli tak, moja mamco, to jeszcze jej trzeba będzie i dwakroć zapłacić, żeby im gęby pozatykać

— Ona sama się zrzekła...

— To i fortepianów tak samo...

— Nie! nie! ja na nie patrzeć nie mogę. Dziś, jutro mi je odeślij, jeśli nie ma gdzie postawić... na ulicy... na ulicy... niech wszyscy widzą... Już mam tej twojej Lenorki popóty. — Pokazała na gardło. — Dość tego!

Alfred ramionami ruszył.

— Jak mama chce — rzekł — ale jabym nic nie dał, dosyć nabrała...

— No, już mi krwi nie burz, mówiąc o tem... Ja ci ręczę, że kanak wojewodziny, co znikł... a od nieboszczki matki jeszcze słyszałam, że był siedm, czy ośm tysięcy czerwonych złotych zapłacony i to jeszcze tanio...

— Pewnie, że jest u nicj — zimno odczuwał się Alfred — ale na miejscu mamy, mając prawo, zrobiłbym rewizyę i możnaby go odzyskać... jeśli jeszcze nie sprzedany...

— Nie chcę i kanaka i fortepianów i nic... Krzywdę moją niech Bóg sądzi! — wzdychając patetycznie, zawołała hrabina.

Alfred przechadzał się po pokoju.

— Ja zawsze — rzekł po chwili — przewidywałem, co nas z tą jejmościanką czeka. Musieliśmy dyssymulować... szczczędzać wojewodzinę... teraz za to pokutujemy.

Hrabina westchnęła

— Myślisz, że ja nie próbowałam siostry zreflektować? Ale to było zaślepione, to były czary, że mnie nieraz grzeszne myśli przychodziły... Trzęsa się słysząc ją nadchodzącą... żyć bez niej nie mogła, a pochlebница jak pies u nóg jej leżała... i nazywała tylko matusią! mateczką! mamą! bo inaczej nie było wolno... i ty pod koniec świadkiem ich sam byłeś nieraz. Wojewodzina oszalała... Żeby nie ten projekt małżeństwa, ręczę ci, że byłaby Julka sprowadziła i wyswatała ją za życia... Szczęście, żeśmy się

z taktem znaleźli tej plamy uniknęli... a drugie szczęście, że ty miałeś rozum i nie stał się skandal... bo choćbyś ty nic nie był winien, przy takich narzucaniach się... ale zawsze pletliby, żeś sierotę skrzywdził...

— Ilm! — szepnął Alfred cicho — był tam ktoś inny.

— Był? proszę cię! toć trzeba o tem gadać głośno... niech ludzie wiedzą, co to za synogarliczka... — Aleś ty mi nigdy nic o tem nie wspominał...

— Nie było o czem mówić — sucho odparł Alfred.

— Któż to taki?

— Swoją swego szuka... syn jakiegoś oficjalisty, którego panna niby przez litość dla matki protegowała. Wiem, że formalnie zajmowała się dokończeniem jego wychowania, że z nim wieczorami chodziła sama jedna na przechadzki... że u wojewodziny nieustannie coś dla niego wyciągała.

— I tam... coś, myślisz, było między nimi?

— Romansik czuły... pokątny... — mówił Alfred — wszyscy o tem wiedzieli, oprócz wojewodziny, która niczego się nie domyślała, bo ją miała za świętą.

— A to żmija chyba — przerwała hrabina — wygrzana na naszym łonie... I proszę cię, Alfredzie, co za nieszczęsny charakter, boś mi mówił, że udawała, iż się w tobie kochała, zawracała oczy, wabiła, a natura cygańska ciągnęła ją do lasa!

Alfred nie mógł naprawdę potwierdzić teraz dawnych swych relacyj, gdyż za życia wojewodziny Lenora tyle tylko dlań była grzeczną, ile ściśle potrzeba było, aby uspokoić wojewodzinę... Zamilkł ponuro... Hrabina zmęczona dyszała tylko. Fortepiany wyprawiono nazajutrz.

Doktór, zapisawszy sobie numer domu, w którym wdowa mieszkała, nazajutrz około południa nie zapomniał wstąpić na Dziekanę. Oswojony z wewnętrzną ekonomiką starych domów Warszawy, z łatwością trafił do tego mieszkania, które się znajdowało w dziedzińcu i należało do najbiedniejszych. Wdowa zajmowała dwie izdebki ciemne, z małą sionką przepierzoną we dwoje, tak że w połowie jej ciasna jeszcze mieściła się kuchenka.

Z imienia syna jej, Zbigniewa, jużby baczny postrzegacz obyczajów domyśleć się mógł charakteru matki, która tę szumno-brzmiącą i romantyczną nazwę narzuciła dziecięciu, na ubóstwo i walki niegłośnie przeznaczonemu. I nie omyliłby się...

Matka Zbigniewa, niegdyś wychowanica i garderobiana możnego domu, nosząca nazwisko szlacheckie, piękna za młodu, wyuczona przy panienkach francuszczyzny, wypieszczona przez męża, była jedną

z tych nieszczęśliwych istot, którym się zdaje przez całe życie, że los je najniesłuszniej pokrzywdził, że Opatrzność była im dłużną wiele... że nie są na swem miejscu...

Taką była istotnie nieszczęśliwa, dobra, zacna, ale ostatecznie śmieszna pani Amelia Matuska.

Za życia męża, mieszkając na folwarku, gdy on ekonomował, zamiast kur pilnować, ubierała swoje izdebki, siebie, dziecko, czytała romanse francuskie, unosiła się nad naturą, zajmowała polityką i grała rolę wielkiej pani, którą wypadki nieszczęśliwe na stan niezdolny skazały.

Życie jej całe było zwichnięte, nędzy broniła się nie pracą, ale łzami i lamentem; z losem pogodzić się nie mogła nigdy, z utratą wdzięków oswoić... Trzymała na loteryi w przekonaniu, że Pan Bóg tylko czekał zręczności, żeby jej wynagrodzić chwilowe zapomnienie, marzyła o sukcesyi jakiejś, o cudach, a pół dnia kładąc kabałę, często zapominała, że trzeba było dopilnować obiadu.

Wychowanie syna nieco tych nieszczęśliwych usposobień było wynikiem... Zbigniew, pieszczone, stracił energię zawczasu, więcej umiał rzeczy miłych niż potrzebnych i byłby może stał się tak nieszczęśliwą jak matka istotą, gdyby nie wpływ Lenory, która go wzięła w opiekę, w której się on zakochał namiętnie... a ona, inne mu zadań życia dając pojęcie.

podniosła go i pokierowała nim, wlewając nowego ducha...

Pani Amelia, ubóstwiając syna, taki los mu gotowała, jak sobie... Szczęściem, w porę jeszcze chłopak posłyszał z ust wdzięcznych prawdy, które do jego przekonania trafiły. Zostało w nim coś z matki, ale nowa nauczycielka pchnęła go na lepszą drogę...

Z takim usposobieniem, jak matka Zbigniewa, rzuconą być w życie nędzy, pracy i w cień a kąt społeczeństwa, jest niewypowiedzianą męczarnią. Biedna kobieta trawiła dnie we łzach, noce na westchnieniach. Mieszkanie jej zdradzało najlepiej charakter, przy największym niedostatku bezsilne staranie o jakąś niemożliwą, nieszczęśliwą elegancję, okrucieństwo lepszych nieco czasów... wszystkie zmyślenia, na jakie zdobyć się może ubóstwo, które ukryć się i zamaskować pragnie.

Coś bardziej tragicznego, a razem więcej do smutnego uśmiechu pobudzającego, wymyśleć trudno.

Pierwszy pokój, do którego wszedł doktor, miał widoczną pretensją być salonikiem. Stół okrywała kolorowa niegdyś serweta, stał na nim jakiś otluczony wazonik ze zwiedłym bukietem; na kulawej szafeczce ponastawiano umiejętnie nieco obłamanej porcelany tak, aby jej kalectwo zamaskować dla patrzącego...

W onach były firanki perkalowe ale pasowe z frezlami, trochę kwiatów w wazonach.

Wśród tego biednego, ciemnego saloniku siedzia-

ła wdowa, blada, z twarzą wyniszczoną, w odzieży starej i zużytej, ale skrojonej i przybieranej tak, aby robiła złudzenie modnego kroju i formy, w chustce wyszarzanej, w rękawiczkach, bez których się ruszyć nie mogła.

Na widok nieznajomego przybrała ton i postawę teatralną wielkiej pani, zesnurowała usta i posunęła się ku doktorowi, cała w ruchach wymuszonych, a dla patrzącego bolesnych.

Jeden rzut oka starczył staremu do objęcia sytuacji, do zrozumienia tej niedoli nad wszelki wyraz boleśniejszej. Jak strój, tak mowa pani Matuskiej, chciały dowodzić i lepszego niegdyś bytu, i staranniejszego wychowania.

— Jestem doktor S. — rzekł przybyły — miałem przyjemność poznać syna pani, a że i o nim chciałem się z panią rozmówić i spytać o jej zdrowie, zaszedłem sam się zaprezentować.

— Nieskończone dzięki winnam konsyliarzowi — odparła, wskazując krzeszło kobieta, sama zajmując pompatycznie na kanapie miejsce. — Wistocie moje zdrowie, tylu przeciwnych losów razami skolatane, w najopłakańszym jest stanie. Widzisz nas pan w smutnem nader położeniu, które litość serc szlachetnych obudzać powinno... Nie byłam zrodzoną do tej doli, którą mi ręka zawistnych przeznaczeń zgotowała... ale umiem cierpieć... Jestem z domu Zamie-rzychowska...

Doktór niewiele zrozumiał, co rodzina Zamierzychowskich mogła mieć za znaczenie, ale głowę skłonił z uszanowaniem.

— Tak jest, jestem z domu Zamierzychowska, odebrałam wychowanie u mych krewnych, bogatych...

— Pani dobrodziejko — z przestraczem spoglądając na zegarek, odezwał się doktor w obawie szczegółowej biografii — czy nie mógłbym wiedzieć, na co pani cierpi?

— A! panie! — załamując ręce, rzekła Matuska — co ja cierpię, to się w słowa ująć nie daje... Cierpię duchowo i cierpię cieleśnie... palpitacye serca... nerwowe okropne boleści, bezsenność... osłabienie, kurcze... śmiech serdeczny często...

Doktór wziął za puls. Wycięnczenie i osłabienie było wielkie, stan chorej istotnie dość groźny... ale nań, niestety, nie lekarstwo, tylko spokój i szczęście mogły być ratunkiem. Po kilku zapytaniach wiedział konsyliarz, że chcąc ją dźwignąć, trzeba było naprzód los lepszy zapewnić.

— Powiedz mi pani, czem syn się jej zajmuje?

— Mój anioł Zbigniewek, ach! panie — łamiąc ręce, krzyknęła z bolesnym wyrazem — zdaje się, że odziedziczył po mnie mą rolę... Jest to najpiękniejszy z zdolności młodziń, pełen talentów, uczuć wzniosłych, mogę powiedzieć śmiało, geniusz... a jednak zapoznany! Nie pozostało mu nic, tylko bakalarstwo, nędzne bakalarstwo... a teraz nawet pokutuje za to,

iż zdrowemi zasadami chciał karmić powierzone mu młode pokolenie... i nie ma zajęcia. Ci arystokraci wypowiedzieli mu wśród roku! Tyrani!

Doktór się zamyślił.

— Jest to wistocie zawód — rzekł — w którym trudno dogodzić i sumieniu własnemu i wymaganiom często zaślepionych rodziców... ale przy zdolnościach pana Zbigniewa, czyby on nie mógł jeszcze rozpocząć nowej nauki i usposobić się do nowego zawodu?

— Do jakiego? — spytała wdowa.

— Jako doktor naturalnie pierwszą myśl mam, iżby się mógł na medyka wykształcić...

— Panie! to dziecię pełne uczucia... czyżby on wytrzymał... trupy... rany... okropne widowisko znikomości ludzkiej...

Konsyliarz się uśmiechnął.

— Wytrzymałby—odpowiedział—powinien mieć na to dosyć charakteru, jeśli jest usposobiony, radzę i życzę... Pomogę mu może do uzyskania stypendjum... Powiedz mu pani, że ja myśl tę przyniosłem i że pragnę przyjąć państwu w pomoc, mocno ją popieram.

— Ale serce macierzyńskie!

— Właśnie ono powinno dla jego własnej i dla przyzwołości pani skłonić go do uchwycenia się tego projektu.

Wdowa zakryła oczy chustką.

— Nie tety! — wyjęknęła — losy są okrutne...

Powiem mu to, ale pozwolisz, szlachetny nasz dobroczyńco, aby mój anioł sam przyszedł jeszcze rady twej zasięgnąć.

— Owszem, proszę o to, bardzo mi będzie miło. Co do pani — dodał konsyliarz — jeśli można zmienić mieszkanie na suche i cieplejsze, a pokarmy starać się, by były posilne, nadewszystko zaś uspokoić się na duszy, nabrać męztwa... otuchy...

— Jest-że słaba niewiasta do pokonania gromów losu zdolną? — odparła pani Matuska.

W ten sposób ciągnęła się rozmowa wykrzyknikami, gdy szczęściem anioł Zbigniew nadszedł, a ujrawszy doktora, nieco zmieszany, rzucił się mu za dobroć jego dziękować.

— Zbisiu mój złoty! — biorąc go w objęcia, odezwała się pani Matuska — ten mąż, pełen dobroci i wzniosłych uczuć, przyniósł nam promień pociechy... dziękuj mu... i mów z nim, gdyż mnie głębokie wzruszenie nie dozwala; i przebaczy mi konsyliarz, iż ukryć muszę łzy moje przed dnia natrętnego światłem...

To mówiąc i skłoniwszy się nieco, wysunęła się biedna kobieta do drugiego pokoiku. Zbigniew, z synowską czułością całując ją po rękach, odprowadził do drzwi i spieszenie do doktora powrócił.

— Daruj pan — zawołał — biedna matka moja podrażniona jest, słaba, i trudno jej o czemkolwiek

mówić bez zbytniego wzruszenia. Jesteśmy biedni—
dodał cicho — bardzo biedni... — Załamał ręce...

— I dlatego heroicznego trzeba szukać lekarstwa, aby wyjść z tego położenia — rzekł doktor. — Moją radą jest, abyś waćpan wziął się do medycyny, ja dla pana uzyskam stypendyum, pięć lat gorliwej pracy da ci niezależność.

Zbigniew uściśnął go wzruszony.

— A! panie! a cóż przez pięć lat nauki stanie się z nią? Pokazał na drzwi. — Ja muszę na chleb zarabiać...

— Na to wszystko potrosze da się poradzić; przyjdź do mnie, pomówimy. Nie rozpaczaj, nie trwóż się i staraj się matkę ukoić... Jesteś poczciwym synem... ludzie i Opatrzność ci pomogą...

A teraz — szepnął doktor — mam ci zwiastować dobrą nowinę, za którą ci się też nagroda należy, boś się przyczynił do spełnienia gorących życzeń panny Lenory. Hrabina obydwą fortepiany zwróciła właścicielce... było z tem trochę kłopotu... Pleyela dziś odkupił Hermann, najęto drugi pokój i w nim stanął Erard... Przyszedłszy więc do swej dawnej protektorki, usłyszysz muzykę.

Zaczerwieniony z radości, rozczulony do łez, zapomniawszy o winnem uszanowaniu, Zbigniew począł doktora ścisnąć i całować.

— A! pan jesteś nieocenionym dobroczyńcą ludzkości! pan jesteś...

— Dajże mi pokój... ja jestem doktor i nie mam czasu, zatem muszę spieszyć... Bądźcie państwo zdrowi dobrej myśli. Pożegnaj matkę odemnie.

Na te słowa teatralnie otwarły się drzwi drugiej izdebki, pani Matuska wyszła, wlokąc za sobą ogon sukni, i drżącą dłoń podała doktorowi, drugą kładąc na sercu.

— Wdzięczność ku tobie, panie, nigdy w niem nie wygaśnie! Żegnaj mi, dobroczyńco ludzkości i jej chlubo!

Nie będziemy malować tej chwili, gdy niespodzianie dwa fortepiany przywieziono przed pałac, i Lenora struchlała na ich widok, nie wiedząc, co pocnie z niemi. Szczęściem, doktor czatował pocziwy, aby ją wywiesć z kłopotu, i energicznie się zajął pomieszczeniem. Lenora Erarda sprzedać nie mogła, bo to był dar tej matki przybranej, którą kochała teraz jak ubóstwioną istotę, mieszkającą w niebiesiech, po której każda pamiątka była relikwią... Pleyela pozbyła się chętnie i łatwo, a doktor ulatwił przynajęcie drugiego pokoju, w którym go postawiono.

Ten, dla kogo muzyka stała się nałogiem, potrzebą, pokarmem ducha, pojmie pierwszą chwilę rozkoszy, jaką zbliżenie do Erarda napoiło Lenorę. Ale ten śliczny, śpiewny fortepian, niestety, przypomniiał jej czasy, których wspomnienie łzami oblać musiała. Z trwogą i poszanowaniem zbliżyła się do niego, nie śmiała dotknąć... potem uderzyła w klawisze, rozpła-

kała się, uciekla. Każda z tych melodyj, wyuczonych niegdyś, których staruszka z rozrzewnieniem słuchała, uprzytomniała stracone szczęście, żywo przywracała czasy niepowrotne... i rozdzierała serce... trzeba było walczyć z sobą, aby zwyciężyć żalobę przypomnień, a odżyć ich pokarmem... Nie jeden dzień upłynął na próbach, łzach i gorączkowych porywach, aż wieczorem nareszcie, przemógłszy się Lenora, dała pochwycić potędze muzyki, której była spragniona: płacząc, rozogniła się dźwiękami, które dla niej nowy urok miały teraz, po długim odlączeniu, i zapomniawszy o świecie całym, poczęła grać namiętnie, szalenie aż do takiego znużenia, że gdy na statek dloniom drżącym sił zabrakło, rzuciła się złamana na łóżko i nie mogąc sukni zrzucić, przetrwała na niem do rana w marzeniach i gorączkowej ekstazie.

Są organizacje, dla których muzyka wedle do-
wcipnego wyrażenia francuskiego pisarza, jest najkosztowniejszym z hałasów, ale są inne, posiadające szósty zmysł harmonii, dla których ona pokarmem, ciałem myśli nie mogących się inaczej uprzytomnić, światem całym niedostępnym mowie, nie dającym się odtworzyć barwą, ni linią, ni słowcin, ni światłem, ni żadnym z języków, któremi mówi stworzenie o niestworzonem... o nieśmiertelnem. Dla tych istot równie ona nieodbitą do życia w pełni jak słońce, powietrze, jak pieśń, jak chleb, jak idea Boga, jak wiara w nieśmiertelność.

Można ubolewać nad nieczującymi muzyki i pozabawionymi jej zmysłu, można równie boleć nad tymi, co mają jedną więcej potrzebę duszy, jeden więcej serca nałóg... ale się nie godzi szydersko uśmiechać ani z kalectwa jednych, ani z drugich egzaltacyi.

Lenora należała do tych nieszczęśliwych, co słuchając pieśni, mogą zapomnieć o chlebie. I w pierwszych dniach, mimo walki z ideą obowiązków, mimo planów pracy... robota została zapomniana, igła odrzuconą, potrafiła nawet o jutrze nie myśleć...

Grała zapamiętałe... Każdy z tych zeszytów znanych, kochanych, był nieprzezwyciężoną pokusą. W chwili takiego upajania się, drugiego, czy trzeciego dnia zapukano tak silnie do drzwi, iż wreszcie pobiegła, usłyszawszy, otworzyć.

Ledwie się one odemknęły, wpadająca jak piorun mała osóбка rzuciła się jej na szyję.

— Lenorka! droga Lenorka! moja droga sierotka!

Tak pani Laura witała tę, której największa życia dała osłodek...

— Cóż się z tobą dzieje? mój Boże... nie mogłam dotąd dopytać schronienia twójego? Czemuś się kryła? dlaczego nie dałaś mi znać? nie chciałaś uwierzyć w serce moje! A! zatobym cię polajac powinna!

Pani droga — odpowiedziała zmieszana Perrelka — tysiąc się przyczyn składało na to, bym mu-

siała zamknąć się w ciszy i samotności. Smutek, którym się dzielić z nikim nie miałam prawa, zwątpienie o sercach ludzi, moje ubóstwo i duma... i pewien rodzaj rozpacz.

— A! rozumiem przez połowę — zawołała Laura, już poczynając rozglądać się po pokoju — ta niegodna Pyza, ten Alfredek! ta cała familijka... ich nieprzebaczone postępowanie... Wierz mi jednak, miałas za sobą wszystkich... oburzeni byliśmy... wszyscy ci życzą dobrze, gotowi podać ręce...

— A ja chciałam własnym tylko przyszłość być winna.

— Tak! tak! ale nie igielce! ja wszystko wiem — przerwała Laura — co za dziwactwo, tobie zostac szwaczką, kiedy masz w tych rączkach skarby, które dotknięciem palca stworzyć ci łatwo...

— A pani! nadtoś laskawa.

— Nie! nie! zobaczysz! teraz ja cię nie puszczam, nie dam żyć w kątku! Będziesz, jak byłaś, heroina naszych salonów, choćby w perkalowej sukience... Ja ci nie pozwolę żywą się zagrzebać... a Pyza pęknie ze złości.

Trudno wistocie zgadnąć, czy zacna pani Laura pomagać chciała sierocie przez miłość dla niej, czy przez nienawiść dla hrabiny. Ona sama analizy tego uczucia zmieszanego z dwóch dokonaćby nie potrafiła. To tylko pewna, że najmocniejsze miała postanowienie swemi wpływami naprawić losu omył-

kę i przywrócić Lenorze jej stanowisko w towarzystwie.

Wpadła, rozpatrując się ciekawie po kątach, do drugiego pokoiku, zobaczyła roboty porozpoczynane, izdebkę ubogą, ślady życia samotnego i pustelniczego, dzbanek z wodą, bułkę chleba i garnuszek od mleka, i fajerkę, na której grzała je sobie Lenora.

— O! tego nie ścierpimy — poczęła wołać gorąco — tybyś się tu głodem zamorzyła, gdy twoje talenta, twoja główka, twoja piękność, twoje wychowanie dają ci wszelką łatwość zdobyć sobie pozycję niezależną i świetną.

— Jak? — spytała Lenora.

— To moja rzecz! Jutro mieć będziesz uczennic, ile zechcesz, staniesz się lwicą... będą się dobijać o ciebie. Ja ci ręcę... ale musisz mnie słuchać...

— Siądź, kochana pani — odezwała się na to Lenora — i posłuchaj mnie z trochę cierpliwości. Ten świat, na który mnie ciagniesz, znam, bom na nim była, bom się wśród niego wychowała. Wiele na nim serc pocziwych, ale zepsutych więcej jeszcze. Co ja zyskam, wprasząc się tam, gdzie właściwie prawa nie mam się znajdować? Pozostanę zawsze tam cudzą, zawsze gościem, i czuć będę, żem z łaski przyjęta.

— Dlaczego — pospiesznie zaprzeczyła Laura — w towarzystwie lepszem wychowanie jest wszystkim. Nikt ci pochodzenia za złe mieć nie będzie.

Czasy nie potemu. Zresztą wszędzie potrafisz być sobą i na miejscu. Schodząc w te sfery, w których cię jeszcze mniej rozumieją niż my, na dobrowolne narażasz się męczarnie; z nami możesz być narażoną na walkę, ale któraż z nas żyje bez niej? I co znaczy walka, gdzie zwycięstwo pewne...

— Zostaw mnie pani w mojej izdebce — błagała Lenora.

— Zawsze, kiedy zechcesz wrócić do niej i pozostać w niej będziesz mogła — ofuknęła Laura — a dla fantazyi ginąć z głodu byłoby niedarowaniem samobójstwem... Bądź co bądź, jesteś u mnie dziś wieczorem na herbacie.

Lenora zadrżała i pobladła.

— A! pani! nie wymagaj!

— Co za tchórzostwo! nie pozwolę na to! nie mogę, nie powinnam... Musisz... i musisz grać i będziesz wesolą, ażeby tym ludziom pokazać, że się bez nich doskonale obejść potrafisz...

— Tak mi już było spokojnie — dodała Lenora — po cóż?

— Po to, ażeby pokazać, że nie oplakujesz utraty położenia, bo je sobie sama wyrobić potrafisz.

Spojrzała na nią bystro, potem zaczęła ścisnąć, całować, szeptać, śmiać się, nie dozwoliła mówić, nie słuchała zarzutów i... zwyciężyła. Lenora zgodziła się ukazać u niej, chociaż nie łudziła się tem wcale, iż teraz na nowo wchodząc w świat, z którego po-

gardliwie wypchniętą została, wiele mieć może do zniesienia.

Zaledwie to przyrzeczenie od niej otrzymała Laura, wyściskawszy ją na nowo, już poprawiała szal i ubierała się, bo pilno jej było swoją herbatę tak urządzić, aby jak najwięcej miała rozgłosu. Znano zręczność pani Laury w poprowadzeniu podobnych interesów; teraz już ściskając i umawiając się ostatecznie o godzinę, o strój (bo wszystko chciała sama rozporządzić), myślą była gdzieindziej i program swój wykończyła.

Drzwi się zamknęły; Zara została sama i usiadła zamyślona, z bijącym sercem. Nie bez wpływu była na nią żywość Laury, jej męztwo i wymowa, mówiła sobie, że powinna walczyć i nie dać łatwego nieprzyjaciolom zwycięstwa; czerpała odwagę w poniżeniu chwilowem... Nie tyle pragnęła tryumfu nad ludźmi, którzy ją pragnęli widzieć zabitą i odrzuconą, jak raczej usprawiedliwić swą przybraną matkę, na której pamięć spadalo podejrzenie słabości śmiesznej lub dziwactwa.

— Stanie się wola Boża — rzekła w duchu — ale dla szczęścia mojego nie będzie żadną zdobyczą powrót do ludzi, między którymi a mną istnieje nieprzebyta nigdy granica... Sierota, cyganka, lwicą będę dla nich, rodzajem ciekawego zwierzątka, które, jak Munito, pomimo że zwierzę, umie rachować i zgaduje dni miesiąca...

Na te rozmysły smętne wszedł Zbigniew, z trwo-
gą młodzieńca, który ubóstwianej istoty próg prze-
stępuje... Biedny chłopak blady był, zmęczony, smu-
tny także. Lenora spojrzała nań ze współczuciem,
podała mu rękę i usiłowała przybrać weselszą twarz,
aby go wywieść z tego wiekuistego kwilenia, do ja-
kiego był nawykły przy matce.

— Byłeś pan zwiastunem nowej ery dla mnie—
zawołała — pan mi dobrem sercem wyprorokowałeś
powrót straconego fortepianu, a teraz nawet zwia-
stuję mu, że dziś jestem wieczorem na świetnej herba-
cie i... z pustelnicy na wietrznice się przerabiam.

Zbigniew zbladł, nie uszło to jej oka.

— Dokadże? kto?

Ale wśród rozpoczętego pytania zamilkł, po-
miarkowawszy, iż się wydać może z uczuciem pe-
wnej zazdrości, którego doznał, słysząc o zmianie ży-
cia i wyjściu z samotności. Zakochany nie wątpił,
iż wszyscy w Lenorze kochać się muszą; gryzł się
już tem, że ulci mu w strofy, do których on nie
będzie miła przystępu.

Dom pani Laury był dobrze znanym w War-
szawie, nawet tym, co jak Zbigniew, ani do niego,
ani do żadnego nie mieli przystępu... Wiedział on,
że się tam najróżnorodniejsze, ale świetne i wybrane
gromadziło towarzystwo, że obok arystokracji rodu,
grosza, miała zaszczytne w niem miejsce arystokra-
cja nauki, talentu i pracy. Obok tych świetnych

gwiazd biedny Zbigniew sam sobie wydawał się pyłem i nicością.

Spojrzał, słuchając tłumaczenia Lenory z tak błagającym o litość wejrzeniem, iż go zrozumiała.

W sercu jej było dlań wiele współczucia, przyjaźni... ale czy się zrodziło coś więcej nad nie do tej chwili, ani ona nie wiedziała, ani my odgadnąć możemy. Był to jej protegowany, jak druh i sługa... ale, jak Zbigniew nie śmiał nawet myślał sięgnąć do serca, tak ona nie spytała się nigdy siebie, czy mu je oddała... Coś braterskiego było w tym związku na pozór chłodnym, a silniejszym od wielu wybuchów płomiennych...

Po krótkiej rozmowie Zbigniewowi tak się smutno zrobiło, iż musiał ją pożegnać, aby pójść tę boleść w samotności przecierpieć.

Laura tymczasem biegła po znajomych, a że jej kalibru gosposiom zwykło się szczęścić, bo one fortunę za czuprynę chwytać umieją, spotykała tego dnia właśnie tych, których znaleźć pragnęła; nawijali się jej pożądanii; zastała w domu swe znajome panie z obozu przeciwnego hrabinej i podintrygowała tak, że któraś z przyjaciółek podjęła się namówić hrabinę samą, by na herbatę (był to dzień zwykły przyjęcia pani Laury) przybyła.

Wcześniej uśmiechała się temu spotkaniu pani Laura; wprawdzie miało ono zdecydować otwartą wojnę między Pyzą a nią, ale tę prędzej, czy później

rozpocząć i prowadzić stawało się koniecznem. Szło jej o to, aby męskiej młodzieży miała dosyć; trafiła na pana Zygmunta Haraburdę na wystawie obrazu jakiegoś, w ulicy zaprosiła pana Romana Junoszę Zarybskiego, jakiemuś kuzynkowi dalekiemu, który służył do szczególnych poleceń, kazała zwerbować jeszcze kilka gwiazd tegorocznego zodyaku. Zacierała ręce, śmiała się, biegła, dysponowała ciastka, słała po owoce, Stefcię pędzała po domu, aby nic do herbaty nie zabrakło, wcześniej nawet przysposobiła cygara dla mężczyzn, bo sama paliła, i u niej obok salonu był *fumoir* każdego wieczoru.

Wedle umowy, Lenora przybyła wcześniej bardzo, aby uniknąć zbyt widocznego i kłopotliwego wchożenia na salon. Pani Laura jeszcze się przystrajała i perfumowała przed zwierciadłem, gdyż niezmiernie była staranną około siebie i bardzo racjonalnie, tem troskliwszą się stawiała, im okropniej brzydła. Słyszając nadchodzącą, odwróciła się i krzyknęła z radości.

Lenora wistocie tego wieczoru była do oczarowania piękną, a urok, który ją otaczał, tem silniej działał, że cała postać, twarz, wyraz uderzały oryginalnem czemś, niewidzianem, odrębnem... Wśród stu można ją było wyróżnić jakby innego świata dziecię... rysy, oko, wejrzenie, płeć ciemna, włosy czarno-siwe, kibić giętka i sprężysta, odznaczały ją wśród północnych niezabudek. Malarz myślał o Judycie

patrzac na nią... snily się Wlochy w jej oku... wschód z podaniami o boginiach nadgangesowych otaczał aureołą jej czoło... trudno było odgadnąć, kto ona, zkład, ale każdy czuł, że to gość z innego jakiegoś świata.

Mimo sieroctwa, mimo teraźniejszego odrzucenia, energia i duma stanowiły wyraz tego oblicza brązowego. Chód miała królowej, wejrzenie nieulękłone. Ubrana w czarną suknię aksamitną, bez żadnych ozdób i błyskotek, wyglądała zachwycająco, jak dyament w czarnej emalii oprawie.

— Poszaleją! wszystkim głowy pozawraca — zakrzyknęła Laura — a jakżeś się *filozoficznie* ubrała... bo filozofia to naszą strój do położenia i wypadku zastosować. Jesteś imponująca! jesteś czarną perełką... prawdziwie...

Laura lubila sciskać, uściśnęła więc gościa, potem poczęła szukać kluczków, chustki zgubionej, zawołała Stefcie, połajala służącego, rozlała wódkę kolońską, wywróciła krzesło, i wyszły do pustego salonu.

Ale razem prawie z ukazaniem się ich poczęli napływać goście; panie, panowie wchodzili jedni za drugimi, każdy stawał i każdego ta postać nowa, lub dawno niewidziana, uderzała. Gospodyni polityką było udawać, że Lenora jest tu jak w domu, i niby na nią nie zważać... Wiele z pań i wielu panów przyszło z Perłą odnowić znajomość wcale grzecznie.

Lenora silila się, aby pozostać i okazać chłodną, niezmiśzaną, naturalną, choć serce zrazu biło mocno.

Jakie było zdziwienie pana Zygmunta, gdy swą Rebekę, czy Rachelę ujrzał niespodzianie w salonie i aksamicie, on, co ją widział raz pierwszy ze dzbankiem wody w ręku? Jakie było zdumienie pana Romana Junoszy Zarybskiego, gdy ujrzał tu sąsiadkę z drugiego piętra i dawną znajomą?

Na ucho opowiadano sobie jej historię, a choć postać na młodzieńcu czyniła wrażenie, ostudziło go to, co usłyszał. Pan Roman nie mógł ani się zbliżyć, ani okazać zajęcia osobie, która herbu nie miała, a co gorzej, na którą padało podejrzenie, iż mogła być żydówką lub cyganką. W tym względzie bowiem różniły się zdania, oparte na charakterystyce lizyognomii, którą inni znawcy typów porównywali do najpiękniejszego ze sfinksów starożytnych.

Piękna Lenora, o której historii wiele osób wiedziało, a nieświadomych pospiesznie z nią na ucho obeznawala gospodyni, robiła ogromne wrażenie... uwielbienia, politowania, współczucia, ciekawości. Artysta nie mógł się napatrzyć, ludzie mierzący wartość człowieka jego salonową formą, nie mogli się wydziwić jej dystynkcyi, obejściu się, francuzczyźnie i arystokratycznej rączce i nóżce. Pani Laura płomień tych uwielbień podsycala jak mogła i umiała, a posiadała w tych sprawach niepoślednią zręczność. W miarę zajęcia piękną Lenorą niechęć do hrabiny

i jej rodziny rosła i potężniała. Ci nawet, co może-
by z sierotą postąpili tak samo, jak ona, oburzali się
na nieludzkie obejście i krzywdę...

Wszystko to razem odbiło się w duszy wy-
gnanki i otoczyło ją cieplejszą atmosferą, odżywiło.
Choć nie słyszała nic, a oznaki sympatii były pełne
umiarkowania i przyzwoitości, nie mogła nie odga-
dnać usposobień ogólnych dla siebie. Jest coś w ka-
żdym z nas, co mu oznajmia mimowoli, czy go ży-
czliwość lub niechęć otacza.

Proszono ją grać, usiadła natchniona, a że mia-
ła znakomity talent improwizatorski, poprzedziła jedną
z pieśni bez słów Mendelsohna przegrywką, w któ-
rej ukształcenie jej muzykalne powszechne wywołało
podziwienie.

Grała potem Chopina, grała Schumana, i wszy-
scy słuchali przejęci i zdumieni...

— To znakomita artystka! — wołano w tłumie.

— Artystka to nic — szeptała pani Laura z ko-
lei po uszach przyjaciółek i przyjaciół — ale ona jest
poetką jak Deotyma, maluje jak Jericho Baumann,
deklamuje jak Palińska i szyje jak najlepsza szwa-
czka, a pilnuje chorych jak siostra miłosierdzia. Nie
dziwię się, że wojewodzina przepadała za nią, bo to
istotnie istota fenomenalna.

— Jednakże właściwie — spytał z przyciskiem
pan Roman Junosza Zarybski, który dla dystynkcyi

włożył sobie *pinre nez* na nos — właściwie kto ona jest?

— Pan nie znasz jej historii?

— Owszem, pani, słyszałem koniec, ale dla wszystkich nas jest tajemnicą początek.

— Zdaje mi się—odparła, wzdychając, Laura — że ten i dla niej nawet jest zagadką... Nigdy od wojewodziny nic pewnego się o tem dowiedzieć nie było można, wiadomo tylko, że małym dzieckiem wziętą została na wychowanie.

— Rysy wschodnie!—zadecydował pan Roman.

— Tak! — przerwał Zygmunt Haraburda — ale wschód szeroki i typy obfite a różnorodne... a prawdziwie trudno powiedzieć, do jakiego ona należy.

— A! niech sobie będzie czem chce—przerwała gospodyni — wiem, że to fenomen ze wszech względów.

Zapał dla sieroty był najmocniej podniecony, Lenora stała jeszcze otoczona wielbicielami płci obu pży fortepianie, gdy drzwi otworzyły się szeroko (i nie bez przyczyny), a przez nie wtoczyła się w karnarkowej atlasowej sukni hrabina...

Laura pospieszyła uśmiechnięta z oznakami najwyższej radości naprzeciw niej; tryumfatorsko wsuwała się do salonu wielka pani, za nią syn w ubraniu nieposzlakowanej świeżości; ale o mało nie odrętwieli oboje, gdy wzrokiem zatoczywszy, postrzegli Lenorę, która się nawet nie zwróciła ku nim, koło

osób wieńcem ją otaczających i postawę sieroty tak dumną, swobodną, wesolą, jak gdyby jeszcze żyła wojewodzina, a ona... spodziewała się być panią Alfredową!

Hrabina Pyza chwilę, mgnienie oka, zdawała się namyślać, spojrzeli na siebie z synem, zarumienili się oboje, ale cofnąć się było to skompromitować się, potępić, okazać grubiaństwo... Wzrokiem nie bazyliuszka, ale rozniewanej gęsi, rzuciła hrabina na Laure, chociaż czuła, że jej nic wymawiać nie mogła, bo przyszła nieproszona, a potem zwolna posunęła się ku kanapie. Hrabina dla rozmiarów swych zwykle miejsce to zajmowała zawsze, które i dumie jej dogadzało, tym razem wszakże nie wiem, przypadkiem, czy umyślnie, kanapa była zajęta i wąski fotel niski pozostał dla hrabiny, co ją samo już w najgorszy w świecie humor wprowadzić mogło. Im bardziej hrabina się była zaperzała, tem Laura stawała się natarczywiej grzeczną, nadskakującą i udawała, że nic nie rozumie.

Alfred, nakrochmalony, z zaciętymi ustami, całą strategię swą zasadził na tem, ażeby nie widzieć nic i nie słyszeć tego, co niemiłem być mogło. W tejże prawie chwili, jak na złość, ktoś z gości (bo Laura dworowała przy Pyzie, domęczając ją grzecznościami) poprosił o mazurek Chopina, fortepian się odezwał i mimowoli oczy na grającą zwrócić się musiały.

Niech sobie hrabina wystawi moje zdziwienie — szepnęła okrutna Laura na ucho — gdy mi dziś na herbatę, bo to mój dzień, przybyła niespodzianie Lenorka! Tak to miło gospodyni domu mieć gościa, co muzyką i talentem wszystkich zajmuje.

Hrabina chrząknęła, patrząc w drugą stronę.

— Ona jest nieoszacowana — kończyła gospo-
sia — i nie dziwię się wojewodzinie, że do niej taką
miała słabość. Moje towarzystwo, od czasu jak we-
szła, całe nią zajęte... otaczają, pytają... szczęśliwa,
bo ma współczucie wszystkich.

Hrabinie zasychało w ustach, roztargniona, le-
dwie ostatnie dosłyszała wyrazy... A tu namówione
panie z kolei przychodziły jej ciągle mówić o pię-
kności Lenory, o jej talentach, o ułożeniu...

Że tego dnia nie dostała hrabina żółtaczki, win-
na to wątrobie, która za to jedno do muzeum się
kwalifikowała.

Alfred był zimno zły, ale nauczony wytrzymy-
wać przyzwoicie afronty doznane, udawał niedobrze
wesołego, uśmiechał się i mówił o czem innem.

Roman, który miał zaszczyt być mu znanym,
a dobijał się honoru spoufalenia, zbliżył się, niedo-
brze świadomy okoliczności wszystkich, niezręcznie
chwaląc przed nim Lenorę.

Hrabia ogłuchł zupełnie.

— Proszę hrabiego, my tu zakłady robimy o po-

chodzenie panny Zara... czybyś hrabia nie mógł rozwiązać zagadki i objaśnić nas?

Alfred piorunująco popatrzył na pytającego i rzekł szydersko:

— Zdaje mi się, że Pan Bóg jeden wie słowo tej zagadki.

— Cudnie piękna! — wolano zewsząd.

— Ale jakże gra Chopina!

Rozumie się, że umiejętna gosposia chórem pochwał kierowała tak, by żadna z nich dla uszów hrabiny i jej syna straconą nie była.

Mama i on byliby natychmiast mieli się do odwrotu, przyzwoitość wszakże placu nieprzyjacielowi oddać nie pozwalała. Skinieniem ręki tak tłuściuchnej, że skinienie wydawało się, zdala patrzącym, groźbą podniesionego kuliaka, hrabina powołała syna; ten schylił się jej do ucha, a ona szepnęła mu:

— *Nous restons aussi longtems que possible...*

Alfred zrozumiał to.

Wistocie postanowienie było rozpaczliwe, gdyż hrabina miała do wycierpienia tyle, iż nazajutrz prawie myślano o krwi puszczaniu, ale honor wychodzić nie dozwalał. Trzeba było wśród saloniku niezbyt wielkiego, wśród osób w większej części będących w spisku manewrować tak, ażeby się nie widziało, nie słuchało, nie zważało na świszczące nad uchem wystrzały.

Lice hrabiny mieniło się w najrozmaitsze ka-

meleonskie tony, białe, żółte, różowe, sine, oczy chwila mi zdawały się krwią nabiegać, ręce z wachlarzem trzęsły konwulsyjnie, ale dobry żołnierz dotrwać musi na stanowisku. Alfred dosyć zręcznie zakrywał matkę i grał obojętnego, ale jedną rękawiczkę podał i butem na posadzce wyświdrował znak niezgluzowany.

Lenora nie widziała niby hrabiny i jej syna, a przynajmniej jakby ich nie znała wcale, postępowała sobie bez przesady, ze swobodą zupełną. Mówiła, śmiała się, siadała do fortepianu i wstawiała, nie spoglądała na tych państwa... i jedyną może oznaką nieuniknionego wzruszenia było nieco gorączkowe ożywienie, nieco podniecona żywość.

Oczy wszystkich widzów tej sceny niemej, która niby niedostrzeżoną być miała dla świadków, zwracały się z niewysłowionem zajęciem to na heroinę, to na jej prześladowców, stojących pod pręgierzem. Hrabina chciała się śmiać, a mało nie płakała; w duchu powtarzała sobie ciągle jak litanię:

— Jeśli jej daruję, niech zginę... to był spisek... ja jej dam! ja jej dam!

Ale jak było dowieść spisku tam, gdzie zaproszenia nie było?

Pani Laura rolę swoją zupełnie niewinnej gospodyni odegrała ze zdolnością nadzwyczajną, zdawała się dziecięcej naiwności i dobroci... Z polityki jej wypadało jak najmniej znów zbliżyć się do Le-

nory... przemówiła do niej zaledwie... zato około hrabiny kręciła się, pod stos, na którym płonęła, podrzucając głównie.

Były na tym wieczorze osoby, którym się on wydał krótki, jak mgnienie oka, i inne, dla których był wiekowo długi... ale nareszcie najgoręcej zajmujący się tem widowiskiem, spojrzawszy na zegarki, zrozumieli, że godzina odwrotu się zbliża. Nikt nie chciał wychodzić pierwszy, spektatorowie czekali jakiegoś końca, nie chcieli stracić nic z dramatu, który jutro mógł być opowiadanym po stolicy

Hrabina dosiadywała uparcie, Lenora nie myślała o wyjściu, wdawszy się w bardzo ożywioną rozmowę, panie to brały za chustki, to zwolna je rzucały, w nadziei, że ktoś je wyprzedzi. Niektórzy z mężczyzn, oczarowani przez Lenorę, zapomnieli o czasie rozmiarach.

W liczbie tych, na których rzuciła mimowolnie urok, był i Roman i Zygmunt... to nic jeszcze, ale co najdziwniej był prawdziwy hrabia, jeden z najmajątniejszych panów, i jeden z najświetniej wychowanych ludzi, hrabia Henryk, pospolicie lordem zwany. Młodość spędzona w Londynie, fizyognomia *a l'anglaise*, cześć dla instytucyj w Brytanii, pewna sztywność, właściwa dzieciom Albionu, słusznie mu ten przydomek zjednały.

Lord Henryk był pięknym bardzo, choć nieco na pozór za pedancko zimnym młodzieńcem; miał

wszystkie wady prototypu, wiele jego przymiotów, a z polskich tradycji wielką tylko charakteru szlachetność i głębokie przekonanie, że należał z łaski Bożej do naznaczonych narodowi wodzów i mistrzów.

Widać w nim było, że się czuł uciosanym z tego materiału, z którego królów dawniej robiono.

Znany z tej wyłączności swej lord, że rzadko do... *nieurodzonych* mówić nawet raczył, zdziwił wszystkich swem zajęciem się sierotą. Naprzód przez pół wieczoru stał w kole, otaczającym ją, z palcem w kieszeni od kamizelki, z oczyma wlepionemi w boginię, nie mówiąc ani słoweczka. Słuchał. Ci, co go znali, dziwili się wytrwałości na stanowisku, nie milczeniu, bo lord rzadko mówił i ożywiał się, ale rzadziej jeszcze przedmiot jaki uznawał godnym tak długiego i wytrwałego badania; kilka razy ktoś do niego coś zagadał, potrząsał tylko głową, nie odpowiadając nic — słuchał. Trwało to dobrą godzinę. Jeśli grupa, w której była Lenora, przesunęła się nieco na inne miejsce, jeśli ona się przeszła, lord posuwał się za nią, stawał z palcem w kamizelce i jak posąg nieruchomy — słuchał. Po niejakiem czasie krokiem statuy komandora w Don Juanie posunął się do Laurry i pochylił się nieco ku niej.

— Pani mnie zechce zaprezentować pannie Lenorze Zara.

— O! z największą przyjemnością.

Sierota mówiła z dwiema panienkami o czemś

obojętnem, gdy wobec wszystkich nader uroczyście został jej przedstawiony lord. Obyczajem swym, nie kłaniając się, schylił tylko głowę, podniósł ją i jako urzędownie już znajomy, rozpoczął rozmowę od zapytania, czy umie po angielsku.

Lenora, która miała guwernantkę angielską, mówiła tym językiem z łatwością; lord rozpoczął więc z wielką przyjemnością najczystszą angielszczyzną rozmowę swobodną i poważną. Poczęli chodzić po salonie wobec świadków i mówili tak z sobą dobrą godzinę. Wywarło to wrażenie niezmierne, bo lord rzadko z paniami mówić raczył, a długiej z jedną z nich pogadanki nie przypominano sobie. Przytem na twarzy jego malowało się takie rozpromienienie i zadowolenie, jakby dopiero teraz znalazł to, czego całe życie szukał.

Ta scena dobila hrabinę i Alfreda. Alfred miał cześć wielką dla lorda, hrabina, nienawidząc jego rodziny, zmuszoną była ją szanować... słabo się jej zrobiło... wstała... Alfred chwycił kapelusz. Laura odprowadziła ich do progu sieni, śmiejąc się, żartując, dziękując, trzpiocąc, choć pochod ten był prawdziwym konduktem. Szanowna Pyza wyszła tak straszliwie zmęczona odbytem męczeństwem, że w powozie syn zrazu o nią był niespokojny... słowa przemówić nie mogła.

W salonie rozmowa z lordem przedłużała się.

— Dlaczego pani tak mało bywasz w towa-

rzystwach? ja ją tu pierwszy raz spotykam — rzekł anglik.

— Czy hrabia wiesz, kto ja jestem? — spytała śmiało Lenora. — Powiedziano moje nazwisko, ale ono nic nie mówi. Mój los mnie tłómaczy. Należę do tych istot *declassées*, które powierzchownie należą do świata waszego, a wistocie są wydziedziczone i obce wszystkim... Jestem sierotą, pochodzenie moje nieznane... Wśród towarzystwa, jak dzisiaj, goszczę przypadkiem, jak ptak burzą zagnany... jutro odlecieć potrzeba.

— To szkoda — westchnął lord — nie ma arystokratyczniejszego narodu nad angielski... w nim arystokracja jest, można rzec, instytucją narodową, a przecież tam wyjątkowe istoty, jak pani, mają prawo do największych dystynkcyj.

— Dziękuję hrabiemu, ale ja się nie czuję wyjątkiem, raczej bardzo pospolitem stworzeniem, któremu nieszczęście dało sily... Opatrzność zsyła je odrzuconym, aby się czem bronić mieli.

Lord westchnął, popatrzył.

— Wiesz pani — rzekł — ja jestem śmiesznie otwarty, proszę to policzyć na karb ekscentryczności narodu, którego jestem wychowawcą; z tą otwartością nieco dziwną muszę jej wyznać, że od pobytu w Anglii nie spotkałem tu nikogo, czyjaby rozmowa większą mi sprawiła przyjemność; przepraszam, jeśli zmudziłem... ale gdzież panią spotkać można?

Lenora pobladła, stanęła.

— Rzadko gdzie — rzekła — nie bywam prawie nigdzie. Od śmierci wojewodziny jestem pustelnicą.

Lord się skłonił, tym samym krokiem, którym chodził po salonie, poszedł do gospodyni i siadł przy niej.

— Zkądże pani ten fenomen wydobyła?—rzekł, bawiąc się rzemykiem, który mu służył za dewizkę od zegarka.

—A prawda, że fenomen! — uszczęśliwiona zawołała Laura—to moja najdroższa sierotka. A prawda, że śliczna, że miła, że utalentowana?

— Co za takt! co za przedziwna maniera... jaka powaga — rzekł lord.— Ale godziż się, by osoba tak znakomita, zakopana marniała?

Laura popatrzyła nań z uśmiechem.

— Wystawże sobie, hrabio, że z tą znakomitą, jak ją słusznie zowiesz, osobą, hrabina i jej syn obesзли się jak najnielitościwiej po śmierci opiekunki, że ją pozbawili legatu... wypchnęli z domu, choć staruszka ją była zaręczyła z Alfredem... Teraz żyje z pracy rąk...

Lord ruszył ramionami... wyrwało mu się:— *Shoking*.

— Żeby nie ja... ale nie chcę się chwalić—dokonczyła Laura. — Dowiedziałam się o mieszkaniu, wyrwałam ją gwałtem z niego, przyznam się, żem

bardzo rada, iż los sprowadził tu za karę hrabinę, aby była świadkiem jej tryumfu...

— Bardzo znakomita osoba! — powtarzał lord — bardzo dystyngowana, mogłaby śmiało na salonach królowej Wiktoryi figurować. Dziwne są losy ludzi... a tyle naszych panien... No...

Wstał, podał rękę gospodyni, i zwolna, skłoniwszy się po drodze z wielkiem uszanowaniem Lenorze, która mu dosyć chłodno ukłon oddała, odszedł.

Laura poleciała do swojej perelki.

— Kochaniel! podbiłaś prowincję, która jeszcze nigdy podbitą nie była... tryumfuj... ale mnie podziękuj. Hrabina dostanie febry lub żółtaczki... a ty! ha? któż wie...

I uścisnęła ją najczulej...

Dzięboszczka wojewodzina, której była wychowanicą Lenora, mieszkała część roku w Warszawie, drugą na wsi, a rezydencya jej, którą teraz odziedziczyli siostra z synem swym, była jedną z najpiękniejszych w kraju. Winna ona była położeniu swemu za rzekami, wpośród odwiecznych lasów to, że rzadko ją klęski wojny dosięgnąć mogły, i że uchowała się, zdobiąc i przerabiając od XVI w. do naszych czasów.

Niewiele takich dworów spotyka się w Królestwie;—zamki leżą w ruinach, palace stoją pustkami, drewniane dwory poobalały się i popaliły, mało ostało się murowanych, bo też ich niewiele było. Miano u nas to powszechne przekonanie, że drewniane, dobrze opatrzone budowy są najzdrowsze do mieszkania; szlachcic i pan najczęściej stawiał sobie, jeśli nie mógł z modrzewiu, to z najpiękniejszych sosen i dębów dwór, co często przetrwać miał wieki.

Cdziej gdzie tylko murowano z kamienia i cegły.

Taki był właśnie ów, pałacem zwany, dwór ogromny, niekształtny, ale teraz przyozdobiony i podobny do angielskiego *cottage* magnata, dwór w Muranowie. Otaczały go szpalery, ulice lipowe, drzewa odwieczne, rzeka — wyglądał na zaczarowane gniazdo spokoju i ciszy.

I był też takim za czasów wojewodziny, kobiety dobrej aż do słabości, a kochającej ten kąt rodzinny nad wyraz wszelki. Ale po śmierci stał się pustką i grobem. Starzy słudzy chodzili, płacząc i truchlejąc nad swym losem, bo choć im testamentem zapewniła umierając staruszka dożywocie, i domy i pensye, ale znali hrabinię i wiedzieli, czego się spodziewać po niej byli powinni. Zesłani plenipotenci hrabiny przetrząsali wszystko, badali jak najsurowiej sługi i dożywotników. Przestрах zwiększył się jeszcze, gdy jednego dnia niespodzianie powóz zaszedł przed dwór i dowiedziano się, że hrabia Alfred nadjechał.

Po co? Odgadywano łatwo, że myślał tu zapewne nowy zaprowadzać porządek. Ludziom, co jeszcze od czasów świętej pani, jak zwano wojewodzinę, zachowywali tu wszystko z poszanowaniem bałwochwalczem, jakby nieboszczka jeszcze tu powrócić miała, pewnie zarówno żał było siebie samych i tych pamiątek przeszłości, które fantazyja nowych dziedziców, choćby dla okazania swej potęgi, pewnie już zamierzała zburzyć. Tak się domyślano.

Ciekawość była niczmierna, popłoch wielki...

oczekiwano trwożliwie skutków, boć hrabia Alfred dormoby nie przyjechał.

Następnego dnia nie zaszło nic nowego, oprócz że powołano ludzi dworskich, a jaśnie pan rozpytywał ich o najrozmaitsze wypadki przeszłości, o wojewodzinę, jej życie, sposób gospodarowania, rządzenia się, użytkowania z dochodów.

Ta indagacya dla wszystkich była niesłychanie ciężką, gdyż ani jeden ze sług starych nie czuł się powołanym do pokochania nowego dziedzica kosztem nieboszczki i oskarżania jej, czego on właśnie zdawał się sobie życzyć i wywołać pytaniami. Z kolei przeszli tak przez badanie prawie wszyscy znajdujący się w Muranowie; każdy wychodził uznojony, zmieszany, rachując się trwożliwie z sumieniem, czyli co zanadto lub niezgrabnie nie wygadał niepotrzebnego.

Po innych przyszła kolej na staruszkę, równieśnicę wojewodziny, jej sługę od lat dziecięcych, można powiedzieć przyjaciółkę, pannę Łowczankę Adalbertę. Miała ona jeszcze za życia swej pani najformalniej sobie zapisany dworek z ogrodem na dziedzictwo i pewną sumkę na Muranowie, z której procentu się utrzymywała. Panna Łowczanka liczyła sobie lat siedmdziesiąt kilka, chociaż może była starszą; dziecięciniała była zupełnie, terażniejszości nie pojmowała i nie pamiętała, wypadki tylko młodości żywo jej były przytomne, i chwilami o nich z zadziwiającą drobnostkowością rozpowiadała. Od śmierci wojewodziny

wiele straciła na zdrowiu i siłach, a całe dnie prawie opłakiwała ją, prosząc Boga, aby się z nią co rychlej połączyć mogła.

Hrabia Alfred zrazu chciał ją kazać prosić do siebie, ale się przekonał, że staruszcze po zimnie kazać iść do siebie było okrucieństwem i niemożliwością. Zrzuciwszy więc trochę pychy z serca, sam poszedł do jej dworku. Smutno tam było jak w grobie, staruszka w mocno napalonej izdebce siedziała ostawiona poduszkami w fotelu, z nogami na stołeczku i nieodstępną siostrzeniczką, która jej to tabakierkę, to chustkę, to okulary, to książkę, to wodę nieustannie podawać i odbierać musiała. Silny zapach rumianku rozchodził się po pokoiku... Przy piecu spały dwa ogromne koty. Mnóstwo pamiątek po drogiej pani otaczało staruszkę, która plakała ciągle, szukając zręczności, by mówić o niej.

Nim pan Alfred nadszedł jeszcze, wbiegł kamerdynier, pan Franciszek, szybko oznajmiając go.

— Panno Łowczanko dobrodziejko! — zawołał jej nad uchem—przyjdzie tu hrabia Alfred.

— No, to niech sobie przyjdzie.

— Ale, panno Łowczanko... jeśli on zechce rozpytywać, jeśli będzie badać, nie bardzo mu wiele mów. Bóg ich wie, co oni za cel w tem mają! a każdego badają, że zdaje się, szpikuby z niego dobyć chcieli.

— Albo to my mamy się z czem kryć? czy to święta nasza pani albo kto z nas, uchowaj Boże, po-

pełnił? Cały świat może wiedzieć o tem, co się jej i nas tyczy.

— Ale, panno Łowczanko... po co to!

— Dajże mi waćpan już pokój... Basia, daj mi tabaki! Kota zsadź, chce wyjść... połóż książkę na stoliku! Nie tak! że nigdy porządnie nic nie zrobisz!

Pan Franciszek odszedł, wzdychając... toż zaraz wsunął się pan Alfred, prychając na zapachy rumianku, tabaki, przygrzewanego w piecu rosółu i kotów. Panna Łowczanka powitała go poważnie i przypomniała mu wojewodzinę, którą mimowolnie długiem z nią pożyciem naśladować się nauczyła.

— Jakże się ma panna Łowczanka? — zapytał grzecznie.

— Bardzo dziękuję — at, jak stara... siedmdzieściąt ośm lat kawęczę... oczy wypłakuję po mojej świętej pani... ale co było, nie powróci, darmo.

I chustką oczy zakryła...

— Nie brak też czego pannie Łowczance? — przypochlebiając się, dodał Alfred.

— Dziękuję! a cóż mi tam tak wielkiego potrzeba, oprócz ciepłego kąta. Straciłam apetyt! Basia! wynieście tego kota, bo piszczy.

— Moja panno Łowczanko dobrodziejko — rzekł po wyjściu Basi, przysuwając się do niej Alfred — dla uregulowania interesów i poszanowania woli wojewodziny potrzebujemy wiele wiadomości... Wiem,

że ich u nikogo właściwiej szukać nie możemy, jak u pani... która miałaś całe zaufanie nieboszczki.

— A! tak! tak! święta pani! ona wiedziała, że ja jej więcej niż swojego strzegłam, u mnie były klucze, kasa, rejestra, póki miałam oczy.

— Proszę też Łowczanki, czy panna dobrodziejka nie wie, komu wojewodzina oddała ten kosztowny kanak familijny który na krocie ceniono?

Panna Adalberta oczy podniosła blade i spojrziała na mówiącego, na chwilę zamilkła... zdawała się namyślać.

— Kanak! ale ja o żadnym nie wiem! nie pamiętam go! nie pamiętam!

— Mówiono, że oddała go pannie Lenorze.

— Pannie Lenci? no, nie wiem... ale ja o nim nie słyszałam...

— Nicby nie było ani dziwnego, ani złego — dodał Alfred — my tylko nie możemy się dopytać, co się z nim właściwie stało, i dlatego chcielibyśmy się czegoś dowiedzieć.

Staruszka głową kiwała... Nie wiem! no, nie wiem o żadnym kanaku... a jeszcze tak drogi!

— Trzeba przyznać — mówił Alfred, jakby odwracając rozmowę — że przywiązanie cioci do panny Lenory było bardzo żywe...

— A czemuż to się dziwować? — wyjęknęła staruszka — toż to było przybrane jej dziecko, kochane, miłe, dobre, serdeczne.

— I ze wszech miar godne miłości jej — dorzucił Alfred — nie przeczę... bardzo! bardzo!

Panna Adalberta, która kochała Lenorę na równi z wojewodziną, złożyła ręce, podniosła oczy i ze łzami rzekła:

— A! to był nasz anioł drogi... ta czarna perelka...

— Ja proszę też panny Łowczanki, jakim sposobem, zkąd, jak ona się dostała do pani wojewodziny?

Na to pytanie zrazu panna Adalberta jakby wahała się odpowiedzieć... kiwała głową, mruzczała coś...

— Wszak to był podrzutek jakiś... sierota, którą, jak mówią, w czasie jarmarku znaleziono pod plotem przy umarłej kobiecie, prawdopodobnie cygance...

— To stara historya, widzi pan hrabia, trudno już sobie dziś przypomnieć dobrze... ja tego jakoś tak dokładnie nie pamiętam...

Filutowaty, gdy tego było potrzeba pan Alfred, zmiarkował, że staruszki nie weźmie inaczej, jak na z ręczne pochlebstwo.

— Panna Łowczanka ma przecież panięć tak doskonałą i wygląda jeszcze tak zdrowo i rzeźwo.

Staruszka siwy lok poprawiła i chusteczkę żółtą, w szafranie farbowaną, którą miała związaną głowę.

— Ja, przyznaję się, niezmiernie ciekawy jestem tej historyi — dodał Alfred — nigdym jeszcze od ni-

kogo dokładnie jej opowiedzianej nie słyszał... a jestem pewny, że nikt jej też lepiej nie wie i nie pamięta od pani.

— Pewnie, że nie — mruknęła Łowczanka — ale co to tam... o stare dzieje!

— Niechże też pani uczyni mi tę łaskę i raz mi to dokładnie opowie... Każdy co innego paple i trudno w tem wszystkim dojść ładu.

— Dawne dzieje, dawne dzieje! — poczęła, zazywając tabaczkę i stopniami ożywiając się, w miarę, jak postępowała w opowiadaniu staruszka... Już to ta nasza kochana wojewodzina, gdy się przekonała, że i w drugim małżeństwie dzieci mieć nie będzie, powiadam hrabiemu, tylko za tem wzdychała, żeby sobie jaką miłą dziecinę przybrać. Ale cośmy jej różnych poddawali, a były i ładne... jakoś serca nie miała. Nieboszczyk rządca muranowski, ś. p. pan Jacek Harasiewicz, co był przed panem Wyżnickim i umarł z zapalenia... ten, który też był bezdzietny, i co mu żona, niech Pan Bóg uchowa, z wikaryuszem uciekła za kordon, pojechał raz na jarmark do Bystrzycy... Pani wojewodzina kazała mu cztery pary wołów kupić dla włościan... powraca już nocą. Pani nieboszczka cierpiała bezsenność, bywało do północy nie sypia... a tego dnia posyłała nas może dziesięć razy pytać, czy Harasiewicz powrócił. Gdy powiedziano, że jest na folwarku, kazała go prosić, jak dziś pamiętam...

Nicrychło przyszedł, a jak to ona była zwykła zawsze do ludzi przemawiać po anielsku: Moja duszko... cożes ty na jarmarku zrobił? możesz ty uziąbł? niechby ci herbaty zrobili, albo podali wódki...

— Dziękuję — powiada Harasiewicz — zimno mi nie było, alem do domu wracając, biedy napytał. — No co? no co? — A lubiła, żeby jej opowiadano.

— Ot, dziecko czyjeś musiałem zabrać przez miłosierdzie i przynieść do domu. — Dziecko? czyje? — Wstyd powiedzieć cygańskie, ale przecież to Chrystus sam powiedział, że i cyganie ludzie, a serce mi się krajało.

Wojewodzina zaczęła mu to chwalić, i jak dziś pamiętam, opowiadał jej, że pośród jarmarku złapali cygana, który był poszlakowany, że kradzionego konia sprzedawał. Była z nim żona obwinieła plachtą, straszna, czarna, która męża, krzycząc i broniąc, pacholkom wziąć nie dawała. Jak się uczepiła, puścić nie chciała, ani ją można było oderwać. Tam tedy, słyszę, jeden jak ją przez łeb pobił czymś, tak krwią zalana padła w miejscu. Ale że to cyganka, niewielką tam ceremonię z tem robili... złodzieja pociągnęli pod wartę, a kobietę powłókł ktoś pod płot, i tak ją tam rzucili, gdzie pono w kilka godzin skoła... a miała przy sobie małą dziecinę, która przyczepiła się tak do trupa, że jej nie sposób było oderwać... Nikt też się tam o to i nie starał bardzo, bo cyganów się ludzie bali. Byłoby może dziecko tam z głodu zmarło, gdy-

by nie Harasiewicz tknięty litością, który widząc, że nikt bożego stworzenia nie ratuje, jakoś je sobie przywłaszczył, niemal siłą oderwał od trupa i obwinawszy, utuliwszy, z sobą przywiózł. Wojewodzina jak była litściwą, bardzo mu to pochwaliła, posłała do dziecka sługę, jedzenie, potem nazajutrz kazała je odziać, umyć i przynieść sobie pokazać. Ale to było coś takiego dzikiego jak zwierzątko, żółto-czarne, chude, włosy tłuste, ogromne... oczy straszne... a kwiczało, a nie dało się tknąć. No! ktoby to był wówczas mógł odgadnąć, że wyrośnie na takie piękne stworzenie, przed którym ludzie na twarz padać będą.

Z początku, póki się to nie oswoiło, bieda była okrutna... ale Harasiewicz sam na rękach nosił, lubił dzieci... przyholubił, przygłaskał. Wojewodzina kazała sobie czasem przyprowadzać i łakociami, zabawkami, pieścizotami tak oswajała ją z sobą. Odzywała się w dziecku dzikość, a no i roztropną być poczęła na podziw, a w końcu przywiązywać się coraz do wojewodziny tak, że dopóki była na folwarku, to zobaczywszy ją, jak piesek wybiegała, skakała przez płoty, przez rowy, aby się do niej dostać. I tak sobie serce jej ujęła, że w końcu wojewodzina, choć wiedziała, że to takie było cygańskie dziecko, umówiła się z Harasiewiczem, który je też bardzo lubił, aby sierotkę zupełnie nieboszczce pani ustąpił. Jak tylko się dostała do dworu, poszło zaraz inaczej; zapomnieli wszyscy, czyje było dziecko, i poczęli ją pani i ludzie

nazywać jejmością córeczką. Już to prawda — dodała Łowczanka, więcej mówiąc do siebie, niż do słuchającego z nadzwyczajną ciekawością Alfreda, że nasza panna Lenora taka się stała miła, taka była zdolna i nad wiek swój rozumna, że wszystkim głowy pozawracała. Widząc to nieboszczka, pomyślała o wychowaniu, a Bóg widzi, że na nic nie żałowała, gdyby na królewskie dziecko...

— A tenże cygan się n'e zgłaszał? — zapytał po chwili cicho pan Alfred.

Panna Adalberta zamilkła, chciała mówić i widocznie wahała się, czy jej to powiedzieć wypadało... ale że się rozgadała, staruszka zapomniała snąć o przestrodze udzielonej i już się jej trudno było utrzymać.

— Tego, proszę pana, nikt nie wie, oprócz mnie... ale to tajemnica! — rzekła, zniżając głos i dodając, — Julka, idźno zobacz, co się z kotem stało?

— Jestem bardzo ciekawy — dodał Alfred z uśmiechem zadowolenia.

— W lat pięć, gdy już dziewczynina i podrosła i wszyscy się do niej przywiązali, aż tu jednego dnia jawi się w Muranowie cygan okropny, czarny, zbój straszny, w jednej koszuli założonej, z kijem, pas tylko na brzuchu, jak dziś pamiętam, z konowalskimi jakimiś narzędziami, naprzód na folwark, a potem koniecznie do wojewodziny. Jejmość mnie na-

przód wysłała do niego, czego chce, i kazała mu ją-mużnę dać. Stał w ganku, bo go do sieni puścić nie chcieli... wyszłam, pytam, a ten łamanym jakimś językiem, że go trudno było zrozumieć, powiada mi, że po dziecko przyszedł. Po jakie? nie prędkom się dorozumiała, że po ową sierotę. Gdzie tu mu ją było oddać! Poleciałam jak oszałała do wojewodziny i powiadam jej, co się święci. Nieboszczka w płacz, dziecko wzięła na kolana i powiada, żeby nie wiem co chciał, dać mu, a Lenorki nie oddam za nic... Przywołaliśmy w pomoc z pola Harasiewicza; cygan jak stał tak stał, wyszliśmy do niego, ani się rozmówić pocziwie, ani mu wyperswadować. My jemu mówimy, że dziecko już nawykło, że mu tu dobrze, on jakby nie rozumiał, swoje i swoje.

— Oddajcie mi moje dziecko... Zostało mi jedno po żonie... Zabili mi biedną moją, niech choć po niej dziecina mi zostanie. — Przysięgłabym była, że płakał, i łyzy rękawem obcierał, ale może udawał, kto go wie. Dopiero Harasiewicz, nakarmiwszy, napoiwszy, do niego: Nie damy dziecka. Wojewodzina ci zapomogę ofiaruje... da ci kuźnię we wsi, siedź, a do dziecka się nie mieszaj — Ten swoje, że on nie sprzedą krwi własnej. Jak go zaczęli męczyć, to, owo, dopiero pod wieczór zmiękł; ale się uparł, żeby mu dziecko choć pokazać Wojewodzina w strachu, żeby nie porwał i nie uciekł, a znów po bożemu i odmówić ojcu tego nie godziło się. Harasiewicz wziął ją na rę-

ce, kilku lokai stało na straży, ja przy niej, wynieśliśmy na ganek.

Dziecko, spostrzegłszy cygana, jakby zmartwiało, oczy czarne w niego wlepiło... patrzy... zbladło... Ten z płaczem zbliżył się i coś zagadał... a ona w płacz... sobie... Stary aż na ziemię padł, taki go żal widać po żonie porwał. Scena, powiadam panu... Dziecko poczęło się rwać jak oszalone ze strachu... Cośmy my tam mieli! Odnieśli ją do wojewodziny i ledwie nie rychło odchuchali... Tymczasem Harsiewicz z cyganem w umowę. Kuźni za nic nie chciał, bo w miejscu, jak powiedział, nie usiedziałby, żeby mu złote góry dawali; dziesięć dukatów wziął, i zgodził się wiedząc, że córce dobrze, aby została w Muranowie. Ale to sobie warował, ażeby ją każdym razem, kiedy przyjdzie, mógł widzieć.

— No, i więcej pewno się nie pokazał? — spytał Alfred.

— Ale zaś! — odparła panna Łowczanka — co roku regularnie się przywlekał. Jak dziecina podrosła, wojewodzina, choć ją za córkę przybrała, nie chciała przed nią taić, że to był jej ojciec, i nauczyła go szanować...

Ale nigdy długo z nią nie był, przyszedł, popatrzył, pogłaskał... czasem i słowa nie rzekłszy, porwał się jak szalony do powrotu.

— Więc panna Lenora wie o swem pochodzeniu.

— I wie i nie wie! bo później, gdy się wojewodzina przekonała, że cyganisko było nic potem, łotr, zbój, złodziej, poczęła jej mówić, że to rzecz niepewna, że on się uparł, aby pieniądze brać... i wiarę w niej zachwiała. Jednakże później, ile razy się pokazał cygan, wychodziła do niego, mówiła z nim, badała go.

— I dawno go już nie było? — mówił Alfred.

— Jeszcze na rok przed śmiercią pani nieboszczki przyszedł, przyniósł dla panienki węgierski pasek muszelkami naszywany... gadał z nią długo, po płakał i znikł... Odtąd go już podobno widać nie było.

— Nie spytaliście też, jak on się nazywał? — spytał hrabia.

— A co, proszę hrabiego, może mieć cygan za nazwisko? — odezwała się Łowczanka. On sam jej dał imię swojej żony Zara... i to pannie Lenorze zostało... a jego, bodaj jak innych, wołali Dżęga...

Uśmiechnął się Alfred i szepnął:

— Panna Dżężanka! czystej krwi cygańskiej! Ojciec rozbójnik... matka pod płotem zmarła... *c'est charmant!* a pani wojewodzina mi ją swatała. Ślicznogobym był miał teścia.

Porwał się z krzesła, aż Łowczankę przestraszył.

— Moja panno Łowczanko! — zawołał — i jakże wojewodzina mogła być tak zaślepioną, tak niepa-

miętą godności własnej i familii, aby pomyśleć nawet podobną istotę wprowadzić do domu i chcieć zaręczyć z siostrzeńcem... To chyba obłąkanie było.

Łowczanka drżąc patrzyła nań, posłyszawszy głos zmieniony; teraz dopiero jej na myśl przyszło, że się z wielu rzeczami wcale niepotrzebnie wydać musiała, zalamiała ręce drżące.

— A! panie — zawołała — cóż winna wojewodzina! To dziecko cudowne! Sam pan widziałeś, jak wyrosła, co się z nią stało, jak jest piękna, miła i dobra. Cóż kre.w znaczy czarna i płeć ciemna, gdy dusza wybieleje... A tej duszy nic zarzucić nie można... Któżby tam wiedział o cyganie... Gdy się kogo kocha, jak my ją wszyscy, na myśl nie przychodzi, czyje to dziecko, bo go serce za swoje przybrało...

— A tak! tak! wszystko to bardzo ślicznie — dodał Alfred — ale mnie jednak Bóg strzegł od tej koligacyi... Domyślałem się, przeczuwałem zawsze, że tam coś takiego jest, nadto się wojewodzina taila... a w ostatku już była nie przy zdrowych zmysłach...

Panna Łowczanka zmęczona patrzyła, słuchała, w uszach jej tętniło, zaczęła kaszlać, rozplakała się, zawołała Basi, a hrabia się wysunął.

Jadąc do dworu, który teraz pałacem nazywać kazano, świstał wesolo i już był na wpół drogi do niego, gdy mu coś na myśl snąć przyszło, zwrócił się do domku Łowczanki...

Zastał ją przy filiżance rumianku z szafranem, który zawsze dla uspokojenia pijała z porady księdza kwestarza. Staruszka rozlała szacowny płyn na kolana, zobaczywszy powracającego gościa.

— Jeszcze słówko, moja panno Łowczanko — rzekł, stojąc przed nią. Przypomnijcie-no sobie dobrze... bo tu i o was chodzi... Co się stało z naszymi klejnotami familijnymi? My wiemy z inwentarza, co wojewodzina wzięła, ani śladu gdzie się to podziało, szczególnie ów kanak...

Stara patrzyła w niego jak w tęczę, usiłując zrozumieć... drżała.

— Ale ja o niczem nie wiem, na krzyżu przysiądz gotowam!

— Pani przy niej byłaś od młodości? to nie może być! Nie życzę nic taić przed nami... Juściż tak kosztowne rzeczy nie mogą zniknąć bez śladu. Panna Łowczanka sama powiadasz, iż miałaś klucze od precyozów i kasy.

— Ale, mój dobrodzieju! Nieboszczka mi się nie spowiadała, co z klejnotami robiła.

— Jest silne podejrzenie, iż po śmierci jej... któż wie? skradzione być mogły — dodał Alfred.

Staruszka poczęła się trząść cała.

— Skłonności są we krwi! cóżby dziwnego było, żeby córeczka szubienicznika wstąpiła w ślady ojca! Słabość wojewodziny mogła ją uzuciwalić, mogła to uważać za swoje...

Kończył mówić, gdy postrzegł, że Basia podtrzymywała już omdlałą staruszkę, która padła na poduszki fotelu blada i jakby bez życia.

Alfred zląkł się i sam zawołał o ratunek... przybiegła druga służąca, przyniesiono wody i spirytusów... panna Łowczanka otworzyła oczy jakby obłąkane, ale już ją o nic pytać nie było podobna, hrabia wyszedł.

Instrukcja, dana przez matkę, nakazywała Alfredowi jak najściślejsze poszukiwanie zatraconych precyozów, a przynajmniej ich śladu. Myślą było zacej matrony, jeśli tylko najmniejsze się okaże podobieństwo, wytoczyć formalny proces kryminalny Lenorze o nadużycie zaufania i pochwycenie tajemne owych drogocennych brylantów. Czyby on się powiodł, czy nie, zawsze plama i podejrzenie padłyby na znienawidzoną... poszedłby rozgłos o sprawie i sierota, której rodowód rozgłaszano, straciłaby możliwość ukazywania się na świecie, musiałaby się gdzieś ukryć, uciekać, a hrabina odniosłaby tryumf świetny, usprawiedliwiając się z postępowania swojego z nią, aż nadto pobłażliwego.

Plan ten zręcznie był osnutym, a pan Alfred wziął go mocno do serca i w zręcznej rozmowie z Łowczanką już do ziszczenia go cenne pozyskał materyały. Szło teraz tylko o wynalezienie jakichkolwiek śladów piśmiennych lub materyalnych owego uronienia kanaku.

Powróciwszy więc z indagacyi, zajął się pan Alfred najściślejszą rewizyą pozostalości po wojewodzinie, która zawsze na wsi papiery swoje i droższe rzeczy trzymała. W intercyzie, gdy szła za mąż po raz pierwszy, klejnoty owe były wyraźnie wymienione. Przy drugim zamażpójściu intercyzy już nie spisywano wcale, znalazły się wszakże inwentarze, a w nich wzmianka o rodzinnych owych klejnotach... Co się z niemi później stało, najmniejszego nie widać było już śladu. Wszystkie biurka, szafy, kryjówki, szkatulki przetrzął Alfred i nie znalazł nic. Nie kontentując się tem, poszedł jeszcze do pokoiów zajmowanych przez Lenorę i tam znów poszukiwanie czynił najściślejsze. Już był przetrzął wszystko i miał odejść zniechęcony, gdy pod szafką zobaczył kilka zasuniętych głęboko safianowych pudełek... Kazał je natychmiast dobyć przy świadkach...

Pudła te, widocznie starożytne, rozmaitej formy, dosyć dziwaczne, zamykane na haczyki, nosiły wewnątrz bardzo wyraźne odciski niegdyś w nich długo na aksamitnych podkładkach leżących klejnotów... Żadnego z nich tu już nie było, ale kształty ich dobitnie zachował ściśnięty aksamit. Alfred mógł się przekonać, iż trafił mu w ręce najpożądanwszy z dowodów winy... której on sam z trudnością mógł uwierzyć. Ale futerały te znalazły się w mieszkaniu panny Lenory; słudzy, pytani o nie, nie umieli objaśnić, coby one znaczyły... dlaczego się tu znajdowały...

Opis pierwszej intercyzy zgadzał się doskonale z odciśnięciem kanaka owego na największym z pudełek.

Alfred sam się zmieszał tem odkryciem, chociaż go pożądał; w duszy nie mógł przypuścić winy, choć potakiwał matce... znał dosyć Lenorę, by być pewnym niemal, iż ona sobie przywłaszczyć tych precyozów nie mogła... a jednak!

Natychmiast wezwano z miasteczka urzędnika i tegoż wieczoru spisano protokół... Ludzie, którzy zrazu nie rozumieli nic i nie domyślali się, do czego to wszystko służyć może, później przestraszeni, wahali się z poświadczeniem, ale wezwani do przysięgi, uledez musieli

Jeden tylko kamerdyner Franciszek, nadszedłszy później, do zeznań innych dołożył swoje, natarczywie się dopraszając, aby je zapisano, i zeznał, że pudełka te widział nieraz próżne od bardzo dawna, że wojewodzina dawała je do zabawy panience, gdy ta jeszcze była małą... i że nikt nie pamiętał, aby się co w nich znajdowało...

Zeznanie to razem z innemi musiało być zapisane, a ono jedno tylko uniewinniać się zdawało niešťęśliwą sierotę. Badany Franciszek o same klejnoty, czyby ich gdzie nie widział lub nie słyszał, co się z niemi stało, nie umiał nic powiedzieć. Przetrzęsiono na nowo papiery, ale w tych nic a nic nie znaleziono... Rejestra dochodów od lat wielu wskazy-

waly wydatki i sumy z różnych wpływające źródeł, nigdzie jednak tak znacznego kapitału, jakiby ze sprzedaży klejnotów mógł pochodzić.

Nazajutrz pan Alfred, zabrawszy *corpus delicti*, papiery... kilku ludzi, którzy mu jako świadkowie mogli być potrzebni, natychmiast odjechał nazad do Warszawy. We dworze popłoch, przestrah, żal, narzekania powstały ogromne; ludzie płakali i obwiniali jedni drugich. Szczególnie też zarzucano zdzieciniałości pannie Łowczance, iż musiała niestworzone popłęść rzeczy. Ona sama poczuwała się w części do tego grzechu, płakała, zachorowała i trzeciego dnia potrzeba było posłać po doktora, gdyż słabość przybrała charakter groźny.

Gdy doktor wezwany z miasteczka przyjechał, Łowczanka już się na śmierć dysponowała... Uprowadził go ksiądz... Staruszka dogorywała... ratunku nie było. Umysł jej zbyt silnie wstrząsł ciałem osłabłem, które uderzenia nie wytrzymało...

Nim hrabia Alfred dojechał do Warszawy, Łowczankę wyniesiono na parafialny cmentarz.

Można sobie łatwo wystawić, jak pożądanym gościem dla hrabiny był syn, przybywający z tak ważnemi łupy, z nadzieją pomsty i tryumfu. Natychmiast posłano po prawnika, nie chcąc lekko poczynąć, i odbyto naradę. Możliwość procesu była oczywistą, a w każdym razie jeśliby nie przyniósł owoców po-

żądanych, to jest odzyskania straty, przynajmniej na pewno mógł udręczyć i niepospolitej narobić wrzawy.

Skutkiem konsultacyi było, iż wypracowane za-skarżenie o przywłaszczenie klejnotów po wojewo-dzinie przez jej wychowanicę Lenorę, podano do urzędu.

Wychowanica była cyganką i córką złodzieja.



Biblioteka Raczyńskich

JK 635



JK0635